

**ALFRED HITCHCOCK**

**TAJEMNICA JĘCZĄCEJ  
JASKINI**

PRZYGODY TRZECH DETEKTYWÓW

(Przełożyła: ANNA IWAŃSKA)

## **Wprowadzenie Alfreda Hitchcocka**

Z prawdziwą przyjemnością witam Was u progu nowej przygody naszych Trzech Detektywów. Jeśli dotąd nie zawarliście z nimi znajomości, pozwólcie, że Wam ich przedstawię teraz. A więc są to: Jupiter Jones, Pete Crenshaw i Bob Andrews. Mieszkają w Rocky Beach, małym mieście w pobliżu sławnego Hollywoodu.

Jakiś czas temu chłopcy założyli zespół detektywistyczny i rozwiązują przeróżne tajemnicze zagadki, które pojawiają się na ich drodze. Mózgiem zespołu jest Jupiter Jones - logiczny umysł, wielkie opanowanie i upór w rozwiązywaniu najbardziej zawikłanych przypadków. Drugim Detektywem jest Pete Crenshaw, zwinny i silny, bywa nieoceniony w niebezpiecznych sytuacjach. Trzecim członkiem zespołu jest Bob Andrews, najbardziej spośród nich rozmiłowany w nauce; wynajduje on potrzebne informacje w książkach i dokumentach oraz prowadzi akta zespołu. Siedzibą Trzech Detektywów jest stara przyczepa kempingowa, ukryta na terenie składu złomu. Skład ten należy do wujostwa Jupitera, Matyldy i Tytusa Jonesów.

“Badamy wszystko” - to dewiza chłopców, w myśl której udadzą się tym razem na ranczo w górach Kalifornii. Tam będą badać wydającą jęki jaskinię i zajmować się legendarnym bandytą, który nie zgadza się pozostać jedynie nie żyjącą od dawna postacią z ludowych opowieści. Czytając o ich niezwykłych, a często niebezpiecznych przygodach, bardziej nerwowym z Was trudno będzie usiedzieć na miejscu lub, co najmniej, powstrzymać się od obgryzania paznokci. Ostrzegam!

A teraz, dość wstępu! Za chwilę wkroczymy w serce zdarzeń.

Światła! Kamera! Akcja!

Alfred Hitchcock

## ROZDZIAŁ 1

### Jęcząca Dolina

- Aaaaauuuuu-uuuu-uu!

Niesamowity jęk toczył się przez dolinę w zapadającym zmierzchu.

- To właśnie jest to - szepnął Pete Crenshaw. - Znowu się zaczęło.

Pete, Jupiter Jones i Bob Andrews przycupnęli na wysokim grzbiecie jednego ze wzgórz w odległym zakątku Rancza Krzywe Y, położonego o paręset metrów od wybrzeża Pacyfiku.

Jęk rozległ się znowu, przeciągły, zawodzący.

Dreszcz przebiegł Pete'owi po plecach.

- Nie dziwię się, że pracownicy chcą odejść z rancza - powiedział do swych towarzyszy.

- Może to dochodzi z latarni morskiej, którą widzieliśmy po drodze - zasugerował Bob. - To może być pogłos syreny przeciwmgłowej.

Jupiter potrząsnął głową.

- Nie, Bob, nie sądzę. To nie jest dźwięk syreny, a poza tym nie ma dziś mgły.

- Więc co... - zaczął Bob, ale Jupitera nie było już przy nim.

Korpulentny Pierwszy Detektyw biegł truchtem wzdłuż wzgórza. Pete i Bob podnieśli się i ruszyli za nim.

Zachodzące słońce kryło się już za wzgórzami i dolinę oblewała mglista purpurowa poświata.

Jupiter przeszedł około pięćdziesięciu metrów i zatrzymał się. Jękliwe zawodzenie rozbrzmiało ponownie. Słuchał uważnie, otoczywszy dłońmi uszy.

- Co robimy, Jupe? - zapytał Pete niespokojnie.

Jupiter nie odpowiedział. Zawrócił na pięcie i przeszedł jakieś sto metrów w przeciwnym kierunku.

- Czy będziemy tak tylko chodzić tam i z powrotem po tym grzbiecie, Jupe? - zapytał Bob. Obaj z Pete'em byli już zniescierpliwieni zachowaniem kolegi.

Jupiter wysłuchał w skupieniu ponownego "Aaaaauuuuu-uuu-u", po czym odparł spokojnie:

- Nie, Bob, właśnie zakończyliśmy eksperyment.

- Jaki eksperyment?! - wybuchnął Pete. - Nie robiliśmy nic poza łożeniem to w lewo,

to w prawo.

- Słuchaliśmy jęku w trzech różnych punktach - tłumaczył Jupiter. - W myślach wytyczałem linię między punktami, w których stałem, a miejscem, z którego zdawał się dochodzić dźwięk. Dokładnie tam, gdzie krzyżują się trzy linie jest jego źródło.

- Masz rację! - zrozumiał nagle Bob. - To się nazywa triangulacja. Inżynierowie posługują się nią przy pomiarach terenu.

- Właśnie. Oczywiście zrobiłem to w sposób raczej prymitywny, ale powinno starczyć dla naszych potrzeb.

- Jakich potrzeb? - zapytał Pete. - To znaczy, co właściwie zmierzylismy?

- Ustaliliśmy, skąd dochodzi dźwięk. Dochodzi z tej jaskini w skale, czyli Jaskini El Diablo - oświadczył Jupiter.

- Genialne! - wykrzyknął Pete ironicznie. - Przecież wiedzieliśmy to już od państwa Daltonów.

Jupiter potrząsnął głową.

- Dobry detektyw sprawdza informacje uzyskane od innych ludzi. Pan Hitchcock mówił nam wiele razy, że nie można polegać na świadkach. Jupiter mówił o reżyserze filmowym Alfredzie Hitchcocku. Kiedyś młodzi detektywi próbowali znaleźć dla niego nawiedzony dom, którego poszukiwał do filmu. Odtąd łączyła go z chłopcami serdeczna przyjaźń.

- Myślę, że masz rację - powiedział Pete. - Pan Hitchcock przekonał nas, że świadkowie w gruncie rzeczy mało widzą.

- Albo słyszają - dodał Jupiter. - Ale teraz nie mam wątpliwości, że jęk dochodzi z Jaskini El Diablo. Wszystko, co pozostaje nam do zrobienia, to odkryć, co jęczy i...

Nie skończył, gdyż jęk odezwał się znowu, niesamowity i przyprawiający o dreszcz, w mroku zacienionej doliny.

- Aaaa-uuuu-uu!

Tym razem dreszcz przeszedł nawet Jupitera. Pete przełknął głośno ślinę.

- Ale, Jupe, pan Dalton z szeryfem przeszukali już trzy razy jaskinię i nic nie znaleźli.

- Może to jakieś zwierzę - zastanawiał się Bob.

- Nigdy nie słyszałem zwierzęcia, które by wydawało taki dźwięk - powiedział Jupiter.

- Poza tym szeryf i pan Dalton znaleźliby jakieś ślady zwykłego zwierzęcia. Są doświadczeniymi myśliwymi.

- Zwykłego zwierzęcia? - powtórzył niespokojnie Pete.

- Może to być jakieś zwierzę nie znane w tych stronach, albo... - oczy Pierwszego

Detektywa rozbłysły - jest to El Diablo we własnej osobie!

- Och nie! - wykrzyknął Pete. - Nie wierzymy przecież w duchy.

- Kto mówi o duchach? - roześmiał się Jupiter.

- Ale El Diablo nie żyje od stu lat - zaprotestował Bob. - Jeśli nie chodzi ci o ducha, Jupe, to co masz na myśli?

Jupiter nie zdążył odpowiedzieć, gdyż nagle eksplozja wstrząsnęła doliną, a niebo rozświetliły czerwone błyski.

- Co to może być, Jupe? - głos Boba drżał ze zdenerwowania.

- Nie mam pojęcia.

Błyski ustały, a odgłos eksplozji zamierał powoli. Chłopcy patrzyli na siebie zaintrygowani.

Nagle Bob strzelił palcami.

- Wiem! To marynarka wojenna! Pamiętasz, Jupe, kiedy jechaliśmy tu ciężarówką, widzieliśmy manewry okrętów. Założę się, że ćwiczą strzelanie do celu wokół Channel Islands.

Pete roześmiał się z ulgą.

- No pewnie! Odbywają te ćwiczenia dwa razy do roku. Czytałem o tym w gazecie. Ostrzeliwują nie zamieszkane wyspy tu w pobliżu.

- Pisano o tym we wczorajszej gazecie - przytaknął Jupiter. - Nocne ostrzeliwanie. Chodźcie, wracamy na ranczo, chcę dowiedzieć się czegoś więcej o tej dolinie.

Nie musiał tego powtarzać dwa razy. Zrobiło się już zupełnie ciemno i chłopcy ochoczo pobiegli do pozostawionych przy drodze rowerów. Wtem z przeciwległego końca doliny dobiegł głośny, dudniący odgłos, po którym nastąpił przeciągły jęk.

## ROZDZIAŁ 2

### Staruch

Jęk zamarł w Jęczącej Dolinie.

- To nie był jęk z jaskini! - zawołał Pete.

- Nie! - przyznał Jupiter. - To był krzyk człowieka!

- I to człowieka znajdującego się w opałach! - dodał Bob. - Chodźcie!

Krzyk dobiegał spod góry wznoszącej się między doliną, a oceanem - Diabelskiej Góry, zawdzięczającej swą nazwę postrzępionemu na kształt rogów szczytowi.

Chłopcy pędzili przez dolinę. W poprzek stoku Diabelskiej Góry leżało usypisko głazów i kamieni, które najwidoczniej świeżo się stoczyły. Pył wciąż unosił się w powietrzu.

- Pomocy! - głos wołającego był słaby i drżący.

Pete ukląkł przy leżącym na ziemi siwowłosym mężczyźnie. Jego nogi, skrócone pod dziwnym kątem, były przywalone kamieniami, a twarz wykrzywiona bólem.

- Proszę leżeć spokojnie - powiedział Pete. - Zaraz pana stąd wydobędziemy.

Wstał i zwrócił się do Jupitera:

- Myślę, że ma złamane nogi. Chodźmy lepiej szybko po pomoc.

- Idźcie, chłopcy, na Ranczo Krzywe Y - odezwał się leżący przez zaciśnięte z bólu zęby. - Ja tam pracuję. Powiedzcie panu Daltonowi, żeby przysłał tu ludzi.

Chłopcy popatrzyli po sobie. Kolejny wypadek przydarzył się któremuś z pracowników pana Daltona! Nie ma końca kłopotom w Jęczącej Dolinie!

Pete spędzał wakacje u państwa Daltonów, nowych właścicieli Rancza Krzywe Y.

Jess Dalton był doskonałym jeźdźcem i długie lata utrzymywał się dzięki swoim umiejętnościom. Uczestniczył w licznych rodeach, a także pracował w filmie, występując w wielu westernach. W studio filmowym poznał pana Crenshawa, ojca Pete'a. Kiedy przyszedł czas na zaprzestanie wyczynów jeździeckich, Jess za wszystkie swe oszczędności kupił podupadłe ranczo. Zaczął właśnie odremontowywać zrujnowane zabudowania, gdy pojawiły się problemy.

Jęcząca Dolina zawdzięczała tę dziwną nazwę starej indiańskiej legendzie oraz pewnym tragicznym wydarzeniom, jakie zaszły w niej jeszcze w czasach panowania hiszpańskiego. Podobno kiedyś, przed laty, wydawała z siebie dziwne zawodzące jęki. Potem jednak zamilkła, a teraz po pięćdziesięciu latach zaczęła jęczeć na nowo. Jakby nie dość było tego, by odstraszyć od rancza pracowników, zaczęły się zdarzać wypadki.

Pierwsze zajście miało miejsce pewnego wieczoru, kiedy dwaj pracownicy jechali konno przez dolinę. W cichym zmierzchu rozbrzmiał nagle ów zawodzący jęk i spłoszone konie zrzuciły jeźdźców. Jeden z nich złamał rękę, drugi został mocno poturbowany. Opowiadali, że w dolinie straszy i lepiej się trzymać od niej z daleka. Krótco po tym, stado koni wpadło w panikę w środku nocy, bez widocznej przyczyny. Następnie jeden z pracowników przysięgał, że idąc wieczorem przez dolinę, zobaczył olbrzymi kształt wynurzający się z Jaskini El Diablo. Zaraz potem dwu pracowników znikło bez wyjaśnienia i mimo że szeryf stwierdził stanowczo, że odnalazł ich w pobliskiej Santa Carla, mało kto dał temu wiarę.

Przeszukanie jaskini nie przyniosło żadnych wyjaśnień. Szeryf zaniechał dochodzenia - nie mógł wszak ścigać duchów i walczyć z legendami.

Wtedy to Pete przybył na ranczo i zastał państwa Daltonów bardzo przygnębionych. Pracy było dużo, a rąk do pracy wciąż ubywało. Byli przekonani, że istnieje jakaś prosta przyczyna wszystkich zajść, lecz jak dotąd nie mogli jej znaleźć.

Zorientowawszy się w sytuacji, Pete nie zwlekał. Czym prędzej zawiadomił Jupitera i Boba. Była to, jak sądził, sprawa do rozwiązania dla Trzech Detektywów. Rodziny obu chłopców chętnie zgodziły się na ich wyjazd na ranczo, a państwo Daltonowie radzi byli ich gościć.

Krzywe Y położone było niespełna dwadzieścia kilometrów od nowoczesnego ośrodka wypoczynkowego Santa Carla i niecałe dwieście kilometrów na północ od Rocky Beach. Teren rancza rozciągał się aż po wybrzeże oceanu, a okolice obfitowały we wzgórza i góry, głębokie doliny i kaniony. Wzdłuż wybrzeża Pacyfiku roilo się od małych, odizolowanych zatoczek. Było to wymarzone miejsce na wakacje. Można było robić ciekawe wycieczki, pływać, łowić ryby, jeździć konno.

Chłopcy jednak ani nie jeździli konno, ani nie pływali, ani nie łowili ryb. Pochłonięci byli całkowicie rozwikływaniem tajemnicy Jęczącej Doliny. Przeprowadzali właśnie wstępne rozpoznanie, gdy kolejny nieszczęśliwy wypadek sprowadził ich do podnóża Diabelskiej Góry.

- Nic, tylko nieszczęście przynosi ta dolina - mamrotał ranny. - Nigdy nie powinienem tu przychodzić. Ten jęk, wszystko przez ten jęk...

- Nie, nie sądzę - powiedział Jupiter poważnie. - Myślę, że to wstrząs po wystrzałach oblużował kamienie i spowodował lawinę. Zbocze tej góry jest wyschnięte i bardzo strome.

- To ten jęk! - upierał się mężczyzna.

- Chodźmy lepiej po pomoc - powiedział Pete - sami nie damy rady zdjąć z niego tej

sterty kamieni.

W tym momencie dobiegło ich rzenie koni i dostrzegli trzech mężczyzn jadących ku nim przez dolinę. Jeden z nich prowadził konia luzem. Na przedzie jechał sam pan Dalton.

- Co się stało? - zapytał zsiadając z konia.

Był to wysoki, suchy mężczyzna, w jaskrawoczerwonej koszuli, wyblakłych dżinsach i kowbojskich butach z wytłaczanej skóry, na podwyższonym obcasie. Głęboka troska malowała się na jego szczupłej, opalonej twarzy.

Chłopcy wyjaśnili, jak znaleźli rannego.

- Jak się czujesz, Cardigo? - zapytał pan Dalton przyklękając przy leżącym.

- Nogi mi połamało - wystękał Cardigo. - Wynoszę się stąd, mam dość tej przeklętej doliny.

- Myślę, że wystrzały spowodowały obsunięcie się kamieni - odezwał się Jupiter.

- Oczywiście - przytaknął pan Dalton. - Wytrzymaj jeszcze chwilę, Cardigo. Uwolnimy cię migiem spod tych kamieni.

Zajęło im to istotnie kilka minut, po czym dwaj pomocnicy pana Daltona ruszyli po ciężarówkę. Gdy podjechała na miejsce wypadku, unieśli ostrożnie Cardiga i ułożyli na platformie. Ciężarówka odjechała do szpitala w Santa Carla, a chłopcy powrócili do swych rowerów.

Panowały już zupełne ciemności, gdy Jupiter, Bob i Pete ustawiali rowery za ogrodzeniem otaczającym zabudowania rancza. Było tam pięć budynków: obszerna chata dla pracowników, duża i mniejsza stajnia, pawilon w którym mieściła się kuchnia, i główny dom - stary, piętrowy budynek, o drewnianej konstrukcji wypełnionej cegłą, otoczony szerokim gankiem. Cały dom był porośnięty pnączami o jasnoczerwonych i szkarłatnych kwiatach. Ogrodzenie dla koni otaczało budynki rancza.

Na małym placu w pobliżu kuchni zgromadziła się grupa mężczyzn. Rozmawiali ścisłymi głosami, zapewne o wypadku. Ich twarze pełne były strachu i złości.

Chłopcy zamierzali właśnie wejść do domu, gdy dobiegi ich czyjś ochrypły głos.

- Gdzieście to byli, chłopcy?

Z ciemności wyłoniła się niewielka, sztywna sylwetka i po chwili rozpoznali ostrą, wysmaganą wiatrem twarz Luka Hardina, rządcy pana Daltona.

- To ranczo jest bardzo duże, można się łatwo zgubić - powiedział.

- Przywykliśmy do otwartych przestrzeni i gór, proszę pana - odparł Jupiter. - Nie ma potrzeby martwić się o nas.

Rządca podszedł do nich.



- Słyszałem, co was tu sprowadza. Ciekawi was Jęcząca Dolina, he? To nie jest dobre miejsce dla dzieci. Trzymajcie się od niego z daleka, słyszycie?!

Nim zdążyli zaprotestować, otworzyły się drzwi i z domu wybiegła mała, energiczna kobieta, o siwych włosach i mocno opalonej twarzy.

- Nonsens, Luke! - zawołała gniewnie. - Chłopcy nie są dziećmi i zdają się mieć więcej rozsądku od ciebie.

- Jęcząca Dolina to nie jest dobre miejsce - powtórzył Hardin uparcie.

- Dorosły mężczyzna, a boi się jaskini! - wykrzyknęła pani Dalton.

- Ja się nie boję - powiedział wolno Hardin. - Nie boję się też spojrzeć prawdzie w oczy. Mieszkam w tej okolicy przez całe życie. Jeszcze jako chłopiec nasłuchiwałem się historii o Jęczącej Dolinie. Nigdy w nie nie wierzyłem, ale teraz nie jestem już taki pewny...

- Bzdury! Głupie zabobony, dobrze o tym wiesz!

Słowa były odważne, ale w głosie pani Dalton wyczuwało się niepokój.

- Jak pan myśli, co to za jęk, kto go wydaje? - Jupiter zwrócił się do Hardina.

Rządca spojrzał na niego poważnie.

- Nie wiem, chłopcze. Nikt nie wie. Szukaliśmy i nie znaleźliśmy niczego. W każdym razie niczego, co da się zobaczyć - oczy Luka rozbłysły w ciemnościach - Indianie zawsze mówili, że nikt nie może zobaczyć Starucha.

## ROZDZIAŁ 3

### Ucieczka El Diablo

- Luke! - krzyknęła pani Dalton.

- Nie mówię, że wierzę w te historie - powiedział rządca. - Człowiek musi widzieć rzeczy takimi, jakie są. Ta jaskinia zaczęła znowu jęczeć i jak dotąd nikomu nie udało się wyjaśnić dlaczego. Jeśli to nie jest Staruch, to co to, według pani, jest?

Z tymi słowami Luke Hardin zszedł z ganku i skierował się do chaty. Pani Dalton spoglądała za nim ze smutkiem.

- Myślę, że to zmieniło nas wszystkich - powiedziała. - Luke jest jednym z najodważniejszych ludzi, jakich znam, i nigdy nie słyszałam, żeby mówił w ten sposób.

- Zastanawiam się, dlaczego zdecydował się powiedzieć nam o Staruchu - odezwał się Jupiter w zamyśleniu.

Pani Dalton milczała przez chwilę, po czym uśmiechnęła się.

- Myślę, że Luke jest po prostu zmęczony. Wszyscy martwimy się i pracujemy zbyt ciężko. A teraz, chłopcy, co powiecie na ciastka i mleko?

- Z przyjemnością coś zjemy, proszę pani - odpowiedział Pete za nich wszystkich.

Wkrótce chłopcy zajadali ciastka w przestronnej jadalni starego domu. Kolorowe, indiańskie kilimy pokrywały podłogę, umeblowanie składało się z prostych, wiejskich, ręcznie robionych sprzętów, a jedną ścianę pokoju niemal całkowicie zajmował wielki kamienny kominek. Na ścianach wisiały wypchane głowy niedźwiedzi i jeleni.

- Co to jest Staruch, proszę pani? - spytał Jupiter sięgając po następne ciastko.

- To stara indiańska legenda. Dawno temu, kiedy pierwsi Hiszpanie przybyli do tego kraju, Indianie mówili, że w stawie, głęboko w jaskini w Diabelskiej Górze, żyje czarny i lśniący potwór, którego zwali Staruchem.

Pete zmrużył oczy.

- Ale skoro nikt nie może widzieć Starucha, skąd wiedzieli, że jest czarny i lśniący?

Pani Dalton roześmiała się.

- No właśnie! Widzisz, cała historia jest oczywiście bez sensu. Przypuszczam, że ktoś coś kiedyś zobaczył, powiedział innym, ci coś dodali od siebie i tak powstała legenda.

- Jak na to reagowali Hiszpanie? - spytał Bob.

- To było dawno temu i oni sami byli bardzo zabobonni - odparła pani Dalton. - Co prawda utrzymywali, że nie wierzą w istnienie potwora w jaskini, ale w miarę możliwości

starali się unikać doliny. Tylko najodważniejsi, jak El Diablo, weszli w głąb jaskini.

- Czy może nam pani opowiedzieć coś o El Diablo? - poprosił Jupiter.

W tym momencie do pokoju wszedł pan Dalton w towarzystwie niskiego, szczupłego mężczyzny w okularach o grubych szklach. Chłopcy spotkali go już wcześniej. Był to profesor Walsh, gość państwa Daltonów.

- A, to wy, chłopcy! Słyszałem, że byliście w naszej pełnej tajemnic Jęczącej Dolinie?  
- spytał.

- Nonsens! - wybuchnął pan Dalton. - Nie dzieje się tam nic tajemniczego. Zwykle wypadki, jakie mogą się zdarzyć na każdym ranczo.

- Ma pan oczywiście rację - przytaknął profesor Walsh. - Obawiam się jednak, że pańscy pracownicy są innego zdania. Prości ludzie uwierzą raczej w siły nadprzyrodzone, niż przyznają się do własnej nieostrożności.

- Gdybyśmy tylko mogli dowiedzieć się, co powoduje ten jęk, i pokazać to im - powiedział pan Dalton. - Po dzisiejszym wypadku stracę jeszcze więcej ludzi. Nie dają sobie nic wytłumaczyć. A przecież Jupiter zorientował się od razu, że obsunięcie kamieni spowodowały strzały w czasie manewrów marynarki wojennej.

- Proszę pana - odezwał się Jupiter oficjalnym tonem - pragnęlibyśmy panu pomóc. Mamy pewne doświadczenie w tego rodzaju sprawach. Być może pan Crenshaw wspomniał panu o tym?

- Doświadczenie? - powtórzył pan Dalton ze zdziwieniem. Jupiter wyjął z kieszeni dwie karty i podał panu Daltonowi. Pierwsza, większa, wyglądała następująco:

**TRZEJ DETEKTYWI**

**Badamy wszystko**

**???**

**Pierwszy Detektyw . . . . . Jupiter Jones**

**Drugi Detektyw . . . . . Pete Crenshaw**

**Dokumentacja i analizy . . . . . Bob Andrews**

Pan Dalton zmarszczył czoło.

- Detektywi? No nie wiem, chłopcy. Obawiam się, że szeryfowi nie będzie się zbyt podobała wasza interwencja.

Profesor Walsh spojrział na kartę.

- Dlaczego tu są znaki zapytania, chłopcy? Czyżbyście wątpili w wasze umiejętności?

Profesor roześmiał się z własnego dowcipu.

Bob i Pete uśmiechnęli się, zostawiając kwestię do wyjaśnienia Jupiterowi. Dorośli zawsze pytali o znaczenie znaków zapytania i Jupe tylko na to czekał.

- Nie, proszę pana - odparł - znaki zapytania to symbol. Oznaczają pytania bez odpowiedzi, niewyjaśnione tajemnice, różnego rodzaju zagadki, które my staramy się rozwikłać. Jak dotąd nie natrafiliśmy na taki tajemniczy przypadek, którego nie udałoby się nam wyjaśnić.

Ostatnie zdanie Jupiter wypowiedział z dumą. Pan Dalton tymczasem studiował już drugą, mniejszą, zieloną kartę. Każdy z chłopców miał taką samą i każda głosiła, co następuje:

*Zaświadcza się, że posiadacz tej karty jest ochotniczym, młodszym pomocnikiem, współpracującym z policją w Rocky Beach. Będziemy wdzięczni za wszelką udzieloną mu pomoc.*

*Samuel Reynolds  
Komendant policji*

Profesor Walsh przeczytał również zieloną kartę.

- Ho-ho, to może zaimponować. Istotnie macie dobre listy uwierzytelniające.

- Wykazaliście dzisiaj, chłopcy, więcej zdrowego rozsądku niż połowa dorosłych tutaj - powiedział pan Dalton. - Być może tego nam tu trzeba: trzej chłopcy ze świeżym spojrzeniem na sprawę. Jestem pewien, że cała ta zagadka ma proste wyjaśnienie. Jeśli przyrzekniecie mi, że zachowacie ostrożność, powiem - zgoda, badajcie sprawę!

- Będziemy ostrożni! - wykrzyknęli chłopcy chórem.

Pani Dalton uśmiechnęła się.

- Jestem pewna, że przeoczyliśmy coś całkiem prostego, co wszystko wyjaśni.

- Może to wiatr hula po tych wszystkich starych tunelach i stąd te hałasy - prychnął pan Dalton lekceważąco.

Jupiter dokończył ostatnie ciastko.

- Pan przeszukiwał tę jaskinię wraz z szeryfem?

- Od początku do końca. Wiele przejść podziemnych jest zablokowanych przez rumowiska z ostatniego trzęsienia ziemi, ale przeszukaliśmy wszystkie dostępne.

- Czy znalazł pan coś, co mogło wyglądać jakby ostatnio uległo jakiejś zmianie? - wypytywał Jupiter.

- Zmianie? - pan Dalton zmarszczył czoło. - Niczego takiego nie zauważyliśmy. Do

czego zmierzasz, synu?

- Wie pan - wyjaśniał Jupiter - słyszałem, że te jęki zaczęły się dopiero miesiąc temu. Przedtem nie słyszano ich przez pięćdziesiąt lat. Jeśli wiatr wywołuje ten dźwięk, logicznie rzecz biorąc, coś musiało się zmienić w jaskini, by dźwięk mógł powstawać ponownie. Nie sądzę, by to wiatr zmienił swą naturę.

- No proszę, to czysta logika! - wykrzyknął profesor. - Może istotnie chłopcy wyciągną pana z kłopotów?

Jupiter zignorował wtrącenie Walsh.

- Dowiedziałem się także - ciągnął - że jęki dają się słyszeć jedynie wieczorami, co oznaczałoby, że nie tylko wiatr jest za nie odpowiedzialny. Zwrócił pan może uwagę, czy to zdarza się każdego wietrznego wieczoru?

- Nie, nie sądzę - pan Dalton zaczynał być szczerze zainteresowany. - Rozumiem, o co ci chodzi. Gdyby to był tylko wiatr, słyszelibyśmy jęki każdego wietrznego wieczoru. Musi to więc być kombinacja wiatru i pewnych specjalnych warunków otoczenia.

Profesor Walsh uśmiechnął się.

- Lub El Diablo powrócił, by nocą pędzić na koniu przez dolinę.

- Proszę nie mówić takich rzeczy, panie profesorze - powiedział Pete nerwowo. - Już Jupe napędził nam strachu podobną uwagą.

Profesor spojrzał bystro na Jupitera.

- Doprawdy? Nie twierdzisz chyba, że wierzysz w duchy?

- Nikt nie wie nic pewnego o duchach, proszę pana - wtrącił Bob poważnie. - My osobiście jednak nie natknęliśmy się nigdy na prawdziwego ducha.

- No cóż - powiedział profesor - Hiszpanie zawsze twierdzili, że El Diablo powróci w razie potrzeby. Przeprowadziłem wiele badań w tej sprawie i doprawdy nie mógłbym stwierdzić, że jest to zupełnie niemożliwe.

- Badań? - zapytał Bob.

- Profesor Walsh jest historykiem - wyjaśniła pani Dalton. - Przybył na rok do Santa Carla dla dokonania specjalnych studiów nad historią Kalifornii. Mój mąż miał nadzieję, że może profesor mógłby wyjaśnić naszym pracownikom sprawę Jęczącej Doliny.

- Jak dotąd nie udało mi się - powiedział profesor. - Ale może wy, chłopcy, jesteście zainteresowani pełną historią El Diablo? Wiem o nim niemal wszystko, gdyż myślę o napisaniu książki o tej barwnej postaci.

- Wspaniale! - wykrzyknął Bob.

- Tak, chciałbym usłyszeć więcej o El Diablo - poparł go Jupiter.

Profesor Walsh rozsiadł się wygodnie w swym fotelu i zaczął opowieść o sławetnym rozbójniku i jego ostatnich przygodach.

- Dawno, dawno temu ziemia, stanowiąca obecnie Ranczo Krzywe Y, była częścią posiadłości rodziny Delgado. Był to największy majątek ziemski, jaki król Hiszpanii nadał swym osadnikom. Hiszpanie nie przybywali do Kalifornii tak licznie, jak Anglicy do wschodniej części Ameryki, tak więc ranczo Delgadów pozostało bardzo rozległą prywatną posiadłością przez wiele generacji.

Później osadnicy ze wschodu zaczęli napływać do Kalifornii i ziemie Delgadów zostały rozdane, sprzedane lub zagarnięte. Po Wojnie Meksykańskiej Kalifornia stała się częścią Stanów Zjednoczonych i coraz więcej Amerykanów zaczęło się tu osiedlać, zwłaszcza w czasach wielkiej gorączki złota w 1849 r. Do roku 1880 olbrzymi majątek Delgadów przestał niemal istnieć, z wyjątkiem niewielkiego kawałka ziemi wielkości dzisiejszego Rancza Krzywe Y, włączając w to Jęczącą Dolinę.

Ostatni z Delgadów, Gaspar Ortega Jesus de Delgado y Cabrillo, był zapalczywym i dzielnym młodym człowiekiem, którego niechęć do amerykańskich osiedleńców stopniowo przerodziła się w głęboką nienawiść. Widział w nich rabusiów, którzy rozkradli jego rodzinną ziemię. Gaspar miał bardzo mało pieniędzy i żadnej władzy, ale marzyło mu się wzięcie odwetu za upadek rodziny i odzyskanie dawnej posiadłości. Postanowił zostać wojownikiem, walczącym w obronie wszystkich starych hiszpańsko-meksykańskich rodzin od dawien dawna zamieszkujących Kalifornię. Kradł pieniądze z opłat podatkowych, odstraszał poborców, najeżdżał oficerów amerykańskich i okradał ich, krótko mówiąc pomagał hiszpanojęzycznym Kalifornijczykom i terroryzował Amerykanów. Stał się człowiekiem wyjętym spod prawa, ukrywającym się w górach. Dla ludności hiszpańskiej był bohaterem, nowym Robin Hoodem, dla Amerykanów - zwykłym bandytą. Przez dwa lata nie udało się go schwytać.

Amerykanie nazywali Gaspara Delgado El Diablo - Diabeł. Nie tylko ze względu na jego wyczyny, ale głównie od nazwy góry mieszczącej jaskinię, w której miał swą główną siedzibę.

W roku 1888 El Diablo został w końcu ujęty przez szeryfa okręgu Santa Carla.

Na głośnym procesie, który zdaniem hiszpanojęzycznej części ludności był sfabrykowany, został skazany na śmierć przez powieszenie. Dwa dni przed egzekucją przyjaciele dopomogli mu w brawurowej ucieczce w biały dzień. El Diablo wspiał się na dach więzienia, przeskoczył na dach odległego o parę metrów budynku, a stamtąd wprost na grzbiet czekającego nań jego czarnego konia.

Ranny w czasie ucieczki i ścigany przez oddział szeryfa, dotarł jednak do swej kryjówki w jaskini w Jęczącej Dolinie. Ludzie szeryfa obstawili wszystkie znane wyjścia z jaskini, ale nie weszli do środka. Uważali, że głód i cierpienia wskutek odniesionych ran zmuszą El Diablo do opuszczenia jaskini.

Tak więc stali na posterunku przez kilka dni i nocy, ale El Diablo nie pokazywał się. Przez cały czas czuwania słyszeli dziwny zawodzący dźwięk dochodzący z głębi jaskini. Oczywiście sądzili, że jest to, spotęgowany echem, jęk rannego bandyty. W końcu szeryf nakazał swoim ludziom spenetrowanie jaskini. Przeszukali każdy tunel w skale, każdą grootę i nie znaleźli absolutnie nic. Po czterech dniach tych poszukiwań zabrali się do przetrząsania okolicy. Nie znaleziono jednak najmniejszego śladu po El Diablo. Ani jego, ani jego ciała, ani ubrań, ani broni, ani konia, ani pieniędzy - nic.

Nigdy więcej nie widziano El Diablo. Niektórzy mówili, że jego ukochana, Dolores de Castillo, weszła do jaskini sekretnym wejściem, pomogła mu uciec i razem zbiegli do Południowej Ameryki, by zacząć nowe życie. Inni twierdzili, że jego przyjaciele, używając czarów, wprowadzili go ze strzeżonej jaskini i ukrywali to na jednym ranczu, to na drugim.

Większość jednak uważała, że El Diablo nigdy nie opuścił jaskini, ukrył się w niej tak dobrze, że Amerykanie nie zdołali go znaleźć, i wciąż tam przebywa! Przez wiele lat, ilekroć w okolicy dokonano jakiegoś niewyjaśnionego gwałtu lub rabunku, mówiono, że sprawcą jest El Diablo, pędzący przez noc na swym wielkim, czarnym koniu. Słyszano również owe jęki, dochodzące gdzieś z głębi jaskini, którą nazwano Jaskinią El Diablo.

Potem - kończył swą opowieść profesor Walsh - jęki nagle ustały. Hiszpańska ludność mówiła, że El Diablo jest już znużony i zaniechał swych nocnych najazdów, ale żyje nadal w jaskini i czeka chwili, kiedy będzie naprawdę potrzebny.

- Doprawdy? - zdziwił się Pete. - Ludzie myślą, że on wciąż żyje tam, w jaskini?

- Czy to możliwe? - zapytał Bob.

- No cóż, chłopcy, jest dużo nieścisłości w związku z postacią El Diablo - powiedział profesor. - Przeprowadziłem wiele badań. Na przykład wszystkie rysunki pokazują go noszącego pistolet na prawym biodrze, a jestem pewien, że był leworęki!

Jupiter skinął głową w zamyśleniu.

- Często historie o legendarnych postaciach są nie bardzo zgodne z prawdą.

- Właśnie - przytaknął profesor. - Wersja oficjalna głosiła, że jego rany nie były śmiertelne. Tak więc, wzięwszy pod uwagę, że miał tylko osiemnaście lat w roku 1888, jest absolutnie możliwe, że El Diablo wciąż żyje!

## ROZDZIAŁ 4

### Dochodzenie rozpoczyna się

- To śmieszne, profesorze! - wykrzyknął pan Dalton. - Miałby teraz około stu lat. Trudno sobie wyobrazić, by taki starzec ganiał po polach!

- Nie dałby pan wiary, jak zwawi mogą być starzy ludzie - powiedział spokojnie profesor. - Są doniesienia o ludziach w południowej Rosji, na Kaukazie, którzy mając sto lat i więcej są pełnosprawni. Poza tym nasz staruszek nie robi nic poza wydawaniem jęków.

- To prawda - przytaknął Jupiter.

- Jest także zupełnie możliwe, że El Diabło miał potomstwo - kontynuował profesor. - Być może jego wnuk usiłuje wskrzesić legendę przodka, napędzając strachu amerykańskim farmerom.

- To jest możliwe - powiedział Dalton mniej sceptycznie. - Nasi poprzednicy nie użytkowali Jęczącej Doliny, ja zaś chciałbym wybudować tam zagrodę dla bydła. Być może jakiś potomek El Diabło nie życzy sobie, by ktoś wkraczał na teren objęty legendą.

- Jess, to może być wyjaśnienie zagadki! - wykrzyknęła pani Dalton. - Pamiętasz? Nasi starsi meksykańscy pracownicy sprzeciwiali się zagospodarowaniu Jęczącej Doliny, jeszcze nim zaczęły się te jęki.

- Oni też pierwsi nas opuścili - podjął pan Dalton. - Jutro pójde porozmawiać z szeryfem. Może wie coś o potomkach El Diabło.

- Może chcielibyście państwo zobaczyć podobiznę El Diabło? - zapytał profesor Walsh.

Wyjął mały obrazek z portfela i podał zgromadzonym. Była to fotografia portretu i ukazywała młodego człowieka, niemal chłopca, o płonących ciemnych oczach i dumnej twarzy. Nosił wysokie czarne sombrero z szerokim rondem, krótki czarny żakiet, czarną koszulę z wysokim kołnierzykiem, czarne spodnie, obcisłe górną z rozszerzającymi się nogawkami, i czarne lśniące buty o spiczasto zakończonych noskach.

- Czy zawsze ubierał się na czarno? - zapytał Bob.

- Zawsze - odparł profesor. - Mawiał, że jest w żałobie po swych rodakach i swym kraju.

- Był tylko zwykłym bandytą, jutro pogadam z szeryfem, żeby sprawdził, czy jakiś głupiec nie stara się kontynuować jego wyczynów - powiedział pan Dalton. - Ranczo nie może obsłużyć się samo i jakkolwiek interesujący jest El Diabło, muszę wracać do roboty. A



wy, chłopcy, jesteście pewnie zmęczeni po waszej wędrówce. Czeka nas jutro ciężka praca. Ojciec Pete'a mówił, że chcecie dowiedzieć się wszystkiego o prowadzeniu rancza. No, najlepszy sposób zdobywania wiedzy to praca.

- Doprawdy, nie jesteśmy zmęczeni - zaprotestował Jupiter. - Prawda, chłopaki?

- Zupełnie nie - powiedział Bob.

- Ależ nie - zawtórował Pete.

- Jest jeszcze wcześniej i wieczór taki piękny - dodał Jupiter. - Chcielibyśmy poznać dokładnie okolice. Plaża, na przykład, jest szczególnie interesująca wieczorem. Morze wyrzuca wtedy na brzeg godne uwagi okazy przybrzeżnej fauny i flory.

Państwo Daltonowie zdawali się być pod wrażeniem elokwencji Jupitera. Miał zwyczaj używania wyszukanych słów, by dorośli uważali go za starszego, niż był w istocie. Bob i Pete zdawali sobie sprawę, że Jupiter planuje coś więcej niż zwykły spacer po plaży. Ze wszystkich sił starali się nie wyglądać sennie.

- Sama nie wiem... - zaczęła z powątpiewaniem pani Dalton.

- Ale dlaczego nie - przerwał jej mąż. - Jest jeszcze wcześniej i rozumiem, że pierwsza noc na ranczu jest zbyt ekscytująca, by ją zmarnować na spanie. Spacer dobrze im zrobi, Marto. Lepiej, żeby obejrzelі sobie plażę dzisiejszego wieczoru, gdyż jutro rano mam dla nich sporo zajęć.

- Zgoda więc - uśmiechnęła się pani Dalton. - Zmykajcie, chłopcy, ale nie wracajcie później niż o dziesiątej. Wstajemy tu wcześniej rano.

Chłopcy nie zwlekali. Odnieśli swoje talerze i szklanki po mleku do kuchni i opuścili dom kuchennym wyjściem.

Jupiter natychmiast zabrał się do rzeczy, wydając polecenia:

- Pete idź do szopy i przynieś duży zwój liny, który tam widziałem. Ty, Bob, idź do naszego pokoju i przynieś kawałki kredy i latarki elektryczne. Ja przygotuję rowery.

- Jedziemy do jaskini? - zapytał Bob.

- Tak jest. Tylko tam możemy znaleźć wyjaśnienie tajemnicy Jęczącej Doliny.

- Do jaskini? Teraz? - Pete miał dość niewyraźną minę. - Nie lepiej przy dziennym świetle?

- Co za różnica, w jaskini jest zawsze ciemno - odparł Jupiter. - Zresztą jęki dochodzą tylko wieczorami, i to nie zawsze. Słyszeliśmy je dzisiaj i jeśli nie pójdziemy teraz, być może będziemy musieli czekać kilka dni, aż się powtórzą.

Pete i Bob musieli uznać słuszność tego rozumowania i poszli wykonać dane im polecenia. Wkrótce wszyscy trzej spotkali się przy furtce. Pete przymocował zwój liny do

bagażnika swego roweru i ruszyli wąską ścieżką ku dolinie. Wieczór był ciepły, księżyc wzeszedł już i oblewał srebrzystym światłem drogę przed nimi.

Ranczo Krzywe Y rozciągało się wzdłuż Pacyfiku, ale sam ocean ukryty był za pasmem skalistych gór. W świetle księżyca wydawały się wysokie i majestatyczne, a przydrożne dęby jawiły się jako białawe duchy. Słychać było niespokojny ruch bydła w polu i parskanie koni.

Nagle powietrze przeszył przeciągły jęk.

- Aaaaauuuuuu-uuuu-uuu-uu!

Mimo że nie pierwszy raz słyszeli to niesamowite zawodzenie, Bob i Pete aż podskoczyli na swych rowerach.

- Dobrze - szepnął Jupiter. - Nie przestała jęczeć.

Odstawili cicho rowery i wspięli się na skały otaczające dolinę. Zeszli w dół i szli przez zalaną księżycowym światłem dolinę ku czarnemu otworowi Jaskini El Diablo. Bob wzdrygnął się.

- O Boże, Jupe, wciąż mi się wydaje, że coś się tam rusza.

- A mnie, że słyszę głosy - dodał Pete.

- To tylko wasza wyobraźnia - powiedział Jupiter. - Po tym, cośmy się nasłuchali i w tej niesamowitej scenerii, każdy cień i szmer budzi grozę. No, gotowi? Bob, sprawdź jeszcze raz latarki.

Pete przewiesił linę przez ramię, każdy z nich wziął do ręki latarkę i swój kawałek kredy.

- Jaskinie mogą być niebezpieczne, gdy nie podejmiemy pewnych środków ostrożności - mówił Jupiter. - Największe zagrożenie to możliwość obsunięcia się w rozpadlinę skalną albo zgubienie się. Mamy linę na wypadek, gdyby któryś z nas spadł, a znacząc nasz szlak kredą, nie zabłądzimy. Poza tym musimy się stale trzymać razem.

- Czy mamy znaczyć drogę znakami zapytania?

- Tak jest. I dodamy strzałki dla oznaczenia kierunku w jakim idziemy - odpowiedział Jupiter.

Znaki zapytania były jednym z ich najlepszych pomysłów. Zostawiali je w widocznym miejscu ilekroć szli jakimś tropem. Ułatwiała to nie tylko powrót, ale także dawało znać pozostałym, którędy szedł jeden z Detektywów. Każdy z nich miał swój kolor kredy: Jupiter - biały, Pete - niebieski, a Bob - zielony. Wiedzieli więc również, który z nich zostawił znak.

- Dobra, gotowi? - zapytał Pete.

- Myślę, że tak - odpowiedział Jupiter z zadowoleniem.

Wzięli głęboki oddech i skierowali się do otworu jaskini. I wtedy znów dał się słyszeć przeciągły jęk:

- Aaaaaaaaauuuuu-uuuu-uuu-uu!

Idący przodem Jupiter zaświecił już swą latarkę. Poczuli na twarzach silny podmuch zimnego powietrza. Wtem rozległ się dudniący hałas. Zatrzymali się.

- Co to?! - krzyknął Bob.

Dźwięk nasilał się i wskutek echa wywołanego nieckowatym kształtem doliny zdawał się dochodzić ze wszystkich stron.

- Tam! Patrzcie! - wrzasnął Pete wskazując w górę.

Olbrzymi głaz toczył się w dół po stromym zboczu Diabelskiej Góry wśród strumienia mniejszych kamieni.

- Skaczcie! - krzyczał Pete.

Bob przekoziółkował w bok, uskakując z drogi pędzącego głazu. Lecz Jupiter stał jak wrośnięty w ziemię, wpatrując się w olbrzymi kamień, spadający wprost na niego.

## ROZDZIAŁ 5

### Jaskinia El Diablo

Pete zwał się całym ciałem na Jupitera, tym sposobem odrzucając go w bok. Niemal równocześnie głaz rąbnął w ziemię z miażdżącą siłą dokładnie w miejscu, gdzie przed sekundą stał Pierwszy Detektyw.

Bob zerwał się na nogi.

- Nic się wam nie stało? - dopytywał się z niepokojem.

Pete podniósł się.

- Mnie nic, jak z tobą, Jupe?

Jupiter wstał powoli i zaczął machinalnie otrzepywać ubranie. Patrzył na nich nie widzącymi oczami w głębokiej zadumie.

- Nie byłem w stanie się ruszyć. Bardzo interesująca reakcja - zamyślił się. - Tak się zachowują małe zwierzęta sparaliżowane wzrokiem węża. Dają się z łatwością schwytać, chociaż miały dość czasu, by uciec.

Bob i Pete z niedowierzaniem patrzyli na przyjaciela, który chłodno analizował swe zachowanie, ledwie uniknąwszy tragicznego wypadku. Patrzył teraz z uwagą na oświetlone księżycem zbocze Diabelskiej Góry.

- Wygląda na to, że tam w górze jest wiele obluzowanych głazów - stwierdził. - Zbocze jest bardzo suche. Wydaje mi się, że obsuwanie się kamieni musi tu być na porządku dziennym, teraz po tych ćwiczeniach marynarki wojennej.

Wszyscy trzej podeszli do wielkiego kamienia. Był zaryty głęboko w ziemię, na metr od wejścia do Jaskini El Diablo.

- Patrzcie, w tym miejscu jest porysowany - wskazał Bob. - O rany! Czy myślisz, Jupe, że ktoś pchnął go na nas? - Rzeczywiście są zadrapania - Jupiter dokładnie oglądał głaz.

- Nic w tym zresztą dziwnego.

- Pewnie od uderzeń o skały po drodze - podsunął szybko Pete.

- Tak - powiedział Bob. - Nie widzieliśmy przecież nikogo na górze.

Jupiter skinął głową.

- Istotnie, ale ten ktoś mógł nie chcieć, by go widziano. - Brr, może lepiej wracać? - powiedział Pete.

- Nie ma mowy - odparł Jupiter. - Musimy tylko podwoić ostrożność. W końcu głazy nie mogą spadać na nas wewnątrz jaskini.

Zaświecili latarki, Bob narysował na skale przy otworze strzałkę i znak zapytania i weszli do środka.

Znaleźli się w długim, mrocznym korytarzu, który prowadził w głąb Diabelskiej Góry. Jego kamienne ściany były gładkie, a sklepienie dość wysokie, by najwyższy z nich, Pete, mógł iść wyprostowany. Po mniej więcej dwunastu metrach korytarz rozszerzał się w olbrzymią grootę. Latarki chłopców rzucały wokół snopy światła. Znajdowali się jakby w wielkiej sali o wysokim stropie. Przeciwległy jej koniec był tak odległy, że zaledwie mogli go widzieć.

- To wygląda jak dworzec kolejowy dużego miasta! - wykrzyknął Bob. - Nigdy nie widziałem tak ogromnej groty. - Jego głos brzmiał głucho i odległe.

- Halo! - zawołał Pete.

- Halo... halo... halooo - powtórzyło echo.

Chłopcy roześmiali się.

- Halo... haloooo! - wykrzykiwał Bob.

Podczas gdy Pete i Bob zabawiali się echem, Jupiter badał dokładnie ścianę groty.

- Chodźcie tu! - zawołał ich nagle.

W ścianie był mały, czarny otwór - początek tunelu, który zdawał się prowadzić na zewnątrz. Chłopcy przebiegli światłami latarek po wszystkich ścianach groty i zobaczyli wiele podobnych otworów. Doliczyli się dziesięciu tuneli, biegnących od dużej groty w głąb góry.

- Masz ci problem - powiedział Pete. - Którym tu iść?

Wszystkie pasáže wyglądały jednakowo - były wysokości wzrostu Pete'a i ponad metrowej szerokości.

- Zdaje się, że Jaskinia El Diablo jest wielkim kompleksem korytarzy i grot, ciągnących się wewnątrz całej góry - powiedział Jupiter.

- Pewnie dlatego ludzie szeryfa nie znaleźli El Diablo - zauważył Bob. - Wśród tylu przejść łatwo mu było się ukryć.

- Tak, to mogłoby być wytłumaczenie - przytaknął Jupiter.

- Jak w ogóle powstaje taka jaskinia? - zapytał Pete, rozglądając się wokół.

- Głównie wskutek erozji - wyjaśnił Bob. - Czytałem o tym w bibliotece. Góra tego rodzaju uformowana jest ze skał o różnej twardości. Woda wsiąka w te bardziej miękkie i powoli je kruszy. Taki proces trwa czasami miliony lat. Dawno temu znaczna część tego terenu była pod wodą.

- Bob ma rację - przytaknął Jupiter - ale ja nie jestem pewien, czy te wszystkie tunele

powstały w naturalny sposób. Niektóre z nich wyglądają na wykute przez człowieka. Być może przez bandę El Diablo.

- Albo poszukiwaczy, Jupe - powiedział Bob. - Czytałem, że szukano złota w tej okolicy.

Pete oświetlał latarką jeden pasaż po drugim.

- Do którego wchodzimy? - zapytał.

- Przeszukanie tych wszystkich korytarzy może nam zająć miesiąc - odezwał się Bob.

- Założę się, że dalej też się rozgałęziają.

- Prawdopodobnie - przytaknął Jupiter. - Na szczęście jest prosty sposób wyeliminowania większości z nich. Chcemy się dowiedzieć, skąd bierze się to zawodzenie. Musimy po prostu przy wejściu do każdego pasażu słuchać tak długo, aż znajdziemy ten, z którego dobiega jęk.

- Racja! - wykrzyknął Pete entuzjastycznie. - Będziemy szli za jękiem.

- Ale Jupe - zatroskał się Bob - ten jęk chyba ustał. Od kiedy weszliśmy do środka, nie słyszałem go więcej.

Chłopcy stali nieruchomo nasłuchując pilnie. Bob miał rację. Jaskinia milczała jak grób.

- Co to może znaczyć? Jak myślisz, Jupe? - pytał Pete niespokojnie.

Jupiter kręcił głową skonsternowany.

- Nie wiem. Może to chwilowe. Może, cokolwiek to jest, zacznie swój jęk na nowo.

Czekali jednak na próżno. Minęło dziesięć minut i w jaskini nie rozległ się najśłabszy nawet dźwięk.

- Jupe, pamiętam, że ostatni raz słyszałem jęk przed upadkiem tego głazu - odezwał się wreszcie Bob. - Tylko, prawdę mówiąc, nie bardzo potem słuchałem.

- Byliśmy zbyt podekscytowani, żeby słuchać - przyznał Jupiter.

- Nie możemy wiedzieć na pewno, kiedy ustał.

- Do licha, i co teraz?! - zaklął Pete.

- Może znowu się zacznie - powiedział Jupiter z nadzieją. - Pan Dalton mówił przecież, że jaskinia jęczy nieregularnie. Myślę, że czekając powinniśmy przeszukiwać jeden korytarz po drugim.

Bob i Pete zgodzili się chętnie. Wszystko było lepsze od beczynnego stania w pełnej widmowych cieni grocie. Bob narysował znak zapytania i strzałkę przy pierwszym otworze i weszli w głąb pasażu.

Poruszali się ostrożnie, oświetlając latarkami drogę przed sobą, aż po niecałych

dziesięciu metrach korytarz się skończył. Przejście blokowała sterta obsuniętych kamieni.

- Pan Dalton mówił, że wiele korytarzy jest całkowicie zablokowanych wskutek trzęsienia ziemi - przypomniał sobie Bob.

- Myślisz, że może się to powtórzyć? Może to niebezpieczne, wchodzić w te tunele? - zaniepokoił się Pete.

- Nie, sklepienia są bardzo mocne - zapewnił go Jupiter. - Te kamienie spadły wskutek potężnego wstrząsu i też tylko w najsłabszych miejscach. To jest bardzo bezpieczna jaskinia.

Zawrócili i ponowili próbę w następnych czterech tunelach, pieczołowicie znacząc swą drogę. Wszystkie cztery były jednak podobnie zablokowane.

- Tracimy czas - zniecierpliwił się w końcu Jupiter. - Rozdzielimy się i każdy będzie przeszukiwał inny korytarz. Nie można się w nich zgubić.

- Każdy z nas pójdzie swoim tunelem aż do końca - zgodził się Bob. - Chyba że się okaże, iż nie jest zablokowany po kilkunastu metrach albo rozgałęzia się.

- Tak jest - powiedział Jupiter. - Jeśli któryś z nas znajdzie niezablokowany pasaż, wróci tu i poczeka na innych.

Zagłębili się, każdy w innym tunelu. Jupiter odkrył, że jego korytarz powstał w naturalny sposób tylko na krótkim odcinku. Potem dostrzegł w świetle latarki drewniane słupy i belki spięte z nimi klamrami i podtrzymujące ściany i strop, jak w kopalnianym szybie. Przeszedł jeszcze parę metrów, studiując bacznie ściany i podłóże.

Nagle wyrosła przed nim ściana z kamieni i gliny, która zamykała szczelnie szyb. Kiedy przykląkł, by zbadać ją dokładnie zauważył mały, czarny kamień, który go zaintrygował. Był zupełnie inny niż te, które widział wokół. Podniósł go i schował do kieszeni.

W tym momencie w tunelu rozległ się krzyk:

- Jupe! Bob! Szybko!

Tymczasem Bob trafił swym korytarzem wprost do nowej groty, podobnej do pierwszej. Rozglądał się po niej ciekawie. Było w jej ścianach również pełno otworów do następnych pasaży. Właśnie zdecydował zawrócić i podzielić się swym odkryciem z pozostałymi, gdy dobiegł go krzyk Pete'a. Rzucił się pędem do wejścia do tunelu, którym przeszedł.

Jupiter biegł spiesznie ku otworowi pasażu Pete'a, gdy coś zważyło się na niego z impetem. Rozłożył się jak długi na kamiennej podłodze, a jakieś szalone stworzenie wczepiło się w niego pazurami.

- Pomocy! - wrzasnął mu w ucho głos Boba.

- Bob, to ja - krzyknął.

Wczepiające się w niego ręce zwolniły uchwyt i obaj chłopcy oświetlili się nawzajem latarkami.

- Rany Boskie, myślałem, że coś mnie zaatakowało - powiedział Bob.

- Odniosłem akurat to samo wrażenie - odparł Jupiter. - Wpadliśmy w panikę słysząc wołanie Pete'a...

- Pete! - zawołał Bob.

- Biegnijmy!

Wpadli obaj do tunelu, którym poszedł Pete. Zdawał się dłuższy od innych. Biegli spory kawałek, nim dostrzegli światło latarki Pete'a.

- Tu jestem! - wołał.

Stał pośrodku dużej groty z pobladałą twarzą. Snop światła jego latarki był skierowany na ścianę po lewej stronie.

- Tam... było... coś - wyjąkał. - Widziałem. Całe czarne i błyszczące.

Bob i Jupiter zwrócili swe latarki na to samo miejsce. Nie było tam nic, poza kamienną ścianą.

- Może to tylko nerwy, Pete - powiedział Bob. - Może powinniśmy się jednak trzymać razem.

Jupiter podszedł do wskazanego przez Pete'a miejsca i przykucnął.

- To nie były tylko nerwy Bob - powiedział. - Zobacz.

Bob i Pete zbliżyli się do Jupe'a. Na kamiennej podłodze widać było dwa duże, ciemne, jajowate ślady. Ślady stóp. Błyszczały w świetle latarki.

- Co... - Bob zawahał się - co to jest, Jupe?

- Coś mokrego - odpowiedział Jupiter - prawdopodobnie woda.

- Hm - Pete przełknął nerwowo ślinę. - Mówiłem wam, że coś widziałem. Kiedy wyszedłem z tunelu usłyszałem szmer. Skierowałem tam latarkę i zobaczyłem... tę... tę rzecz! Tu, pod ścianą. To było duże. Byłem tak zaskoczony, że upuściłem latarkę, a kiedy ją podniosłem, tego już nie było.

Jupiter oglądał w świetle latarki podłogę wokół śladów. Była zupełnie sucha, podobnie ściany i sklepienie.

- Nic poza tym nie jest mokre - powiedział. - Pete ma rację. Coś stało w tym miejscu. Coś, co zostawiło mokre ślady.

- Takie duże? Muszą mieć z osiemdziesiąt centymetrów długości! - dziwił się Bob.



- Co najmniej - stwierdził Jupiter poważnie. - I było to duże, czarne i błyszczące. Jakiś rodzaj...

- Potwora! - dokończył Pete.

- Staruch! - wykrzyknął Bob.

Chłopcy spojrzeli po sobie zaleknieni. Nie wierzyli w potwory, ale co mogło zostawić tak olbrzymie ślady?

Nagle oślepiło ich ostre światło. Przerażeni przyłgnęli do ściany. Zza światła dobiegł ich ochrypły głos:

- Co tu się dzieje?

Wolno zbliżała się do nich jakaś postać - zgięta sylwetka starego człowieka z białą, zmierzwioną brodą i z olbrzymią strzelbą w ręce.

## ROZDZIAŁ 6

### Niebezpieczna wyprawa

Stary człowiek machnął ręką w kierunku ciemnych tuneli.

- Te korytarze idą hen daleko do środka - powiedział wysokim, łamiącym się głosem.

- Wy, młodziaki, możecie się bardzo łatwo w nich zgubić.

W jego czerwono obrzeżonych oczach zapaliły się niedobre błyski.

- Trzeba być tu wielce ostrożnym - zaskrzeczał. - Trzeba znać ten kraj, tak, panie. Siedemdziesiąt lat tu żyję i nigdy nie straciłem mego skalpu, o nie, panie. Myśleć na zapas, to cała historia. Znać kraj i walczyć z wrogami.

- Skalp? - zdumiał się Pete. - Pan walczył z Indianami? Tutaj?

Stary machnął swą antyczną strzelbą.

- Indiany! Powiem wam o nich, powiem. Żyłem z nimi całe moje życie. Mili ludzie, ale twardzi wrogowie, tak panie. Dwa razy mało nie straciłem skalpu. Raz w kraju Uteków, raz w kraju Apaczy. Przebiegli ci Apacze. Ale uciekłem.

- Nie sądzę, żeby tu byli teraz jacyś Indianie, proszę pana - powiedział Jupiter grzecznie. - I na pewno się nie zgubimy.

Wzrok człowieka spoczął na chłopcach. Zdawało się, że po raz pierwszy rzeczywiście ich widzi.

- Teraz? Oczywiście nie ma tu teraz Indian. Bardzo nierozsądnie chłopcy łązić tak po tej jaskini. Obcy tu, co? - jego głos był teraz niższy i równiejszy. Stary człowiek stracił też swój dziki wygląd.

- Tak, proszę pana, nie jesteśmy tutejsi - pierwszy odezwał się Bob. - Jesteśmy z Rocky Beach.

- Spędzamy wakacje na Ranczu Krzywe Y, u państwa Dalton - dodał Jupiter - A pan?...

- Jestem Ben Jackson. Możecie mnie chłopcy nazywać Ben. Daltonowie, co? Fajni ludzie, tak, panie. Przechodziłem obok doliną i usłyszałem czyjś krzyk. Pewnie jeden z was krzyczał, co?

- Tak, proszę pana - powiedział Jupiter. - Ale myśmy się nie zgubili. Widzi pan, robimy znaki idąc, tak więc wiemy, jak wrócić.

- Oznaczacie szlak, co? No, to wielce rozsądnie. Myślę, że dalibyście sobie radę w dawnych czasach, w wielkim kraju. Ale co właściwie tu robicie?

- Staramy się odkryć, co wydaje te jęczące dźwięki - wyjaśnił Bob.

- Tylko to przestało jęczeć, gdy weszliśmy do jaskini - dodał Pete. Nagle stary człowiek jakby się skurczył. Jego oczy zachmurzyły się i pojawiła się w nich ostrożność. Zmiana była tak zaskakująca, że przez moment chłopcom zdawało się, że patrzą na inną osobę.

- Jęki, co? - jego głos był znowu skrzekliwy. - Ludzie mówią, że to El Diabło wrócił. Nie ja, nie, panie. Ja powiem, to Staruch jęczy, tak powiem. Żył w tej jaskini, jeszcze nim się tu biały człowiek pokazał. Czas nic dla niego nie znaczy. Wy się, chłopcy, trzymajcie stąd z daleka, bo Staruch was dopadnie, to pewne. Jess Dalton niech się też lepiej trzyma z daleka, i szeryf, i oni wszyscy. Staruch dobierze się do każdego!

Głos starego człowieka rozbrzmiewał przejmującym jazgotem w mrocznej grocie. Bob i Pete rzucali nerwowe spojrzenia na Jupitera, który przyglądał się uważnie Benowi.

- Czy widział go pan kiedyś? - zapytał. - Czy widział pan Starucha tu, w jaskini?

- Widział go? - zarechotał Ben. - Coś widziałem, tak, panie. Więcej niż raz widziałem.

Rozejrzał się wokół ostrożnie po czym jego wygląd znowu się zmienił. Wyprostował się, oczy mu się wypogodziły, a głos stał się znowu niski i spokojny.

- No dobrze, chłopcy. Chodźcie teraz lepiej ze mną. Nie mogę przecież was zostawić błądzących po jaskini.

Jupiter skinął głową.

- Myślę, że widzieliśmy dość na dzisiaj. Pan ma rację, tu można się łatwo zgubić.

Ben uniósł do góry swą latarnię, której jasne światło rozproszyło mroki groty i złagodziło jej posępność.

Szybko odnaleźli drogę powrotną do doliny. Kiedy szli w towarzystwie starego człowieka do swych rowerów, Jupiter nastawiał uszu, ale żaden dźwięk nie dobiegał z jaskini.

- Roztropni z was chłopcy - powiedział Ben na pożegnanie - ale Staruch mądrzejszy od wszystkich. Lepiej mu się nie narażać. Powiedzcie Jessowi Daltonowi, że Staruch czuwa, tak, panie.

Śmiech starego rozlegał się jeszcze, gdy jechali drogą w stronę domu. Biorąc zakręt Jupiter zatrzymał się nagle.

- Och! - wydał okrzyk Pete, który o mało nie wpadł na niego.

Bob zahamował.

- Co się stało, Jupe?

- Porzucenie zadania w połowie nie przystoi Trzem Detektywom - powiedział Jupiter, zawracając już rower.

- Myślę, że powinniśmy wrócić do domu - zaprotestował Bob.

- Ja też - poparł go Pete szybko.

- Dwa do jednego, Jupe.

Ale Jupiter pedałowal już w przeciwnym kierunku. Bob i Pete patrzyli za nim przez chwilę, wreszcie z rezygnacją zawrócili. Obaj wiedzieli, że nikt i nic nie powstrzyma Jupe'a, jeśli raz wbił sobie coś do głowy. Kiedy się z nim zrównali, wpatrywał się bacznie w mrok przed nimi.

- Droga wolna - powiedział. - Chodźcie.

- Co robimy? - zapytał Bob, gdy Pierwszy Detektyw zsiadał z roweru.

- Zostawimy rowery tutaj i pójdziemy dalej na piechotę - odparł Jupiter. - Będziemy mniej widoczni.

- Dokąd idziemy? - zapytał Pete.

- Zauważyłem właśnie, że ta droga zatacza łuk wokół Diabelskiej Góry i schodzi do morza - powiedział Jupiter. - Chcę zobaczyć, czy nie ma drugiego wejścia do jaskini od strony oceanu.

Poszedł przodem w dół ciemnej drogi, Bob i Pete za nim. Dolinę zalegały cienie, drzewa i krzewy przed nimi zdawały się wypływać z nocy.

- Natknęliśmy się na trzy zagadki dzisiejszego wieczoru - odezwał się Jupiter. - Po pierwsze: dlaczego jęki ustały, gdy byliśmy w jaskini. Wiatr się nie uciszył, wiał nadal, gdy wyszliśmy z niej.

- Uważasz, że coś zatrzymało jęki? - zapytał Bob.

- Jestem tego pewien - odparł Jupiter z przekonaniem.

- Ale co? - pytał Pete.

- Prawdopodobnie nie coś, ale ktoś, kto nas widział wchodzących do jaskini - powiedział Jupiter. - Po drugie: Ben Jackson bardzo chciał, żebyśmy wynieśli się z jaskini. Ciekawe dlaczego?

- Przerażające, jak on się zmieniał - Bob wzdrygnął się.

- Tak - powiedział Jupiter w zadumie. - Niezwykle osobliwy stary człowiek. Zdawało się, że jest dwiema osobami, żyjącymi w różnych czasach. Szczerze mówiąc, nie mogłem opanować wrażenia, że odgrywa przed nami rodzaj przedstawienia.

- Może rzeczywiście niepokoił się o nas - zastanawiał się Pete - jeśli naprawdę widział... Starucha.

- Być może - zgodził się Jupiter. - Następna zagadka to ta czarna, lśniąca rzecz, którą widziałeś, i ślady na dnie groty. Jestem pewien, że to była woda. Jest oczywiście możliwe, że

w jaskini jest jakiś stawek, ale może to również oznaczać, że istnieje drugie do niej wejście od strony oceanu. Tego właśnie musimy poszukać.

Przeszli jeszcze kawałek i droga urwała się nagle przy ogrodzeniu z żelazną furtką. Poza nią dwie wąskie ścieżki biegły w dół urwiska, jedna w lewo, druga w prawo. Daleko w dole jaśniała w świetle księżyca biała linia przybrzeżnych fal. Chłopcy wspięli się na zamkniętą furtkę i zeskoczyli po drugiej stronie.

- Pójdziemy w prawo, w stronę jaskini - powiedział Jupiter. - Pete niech lepiej prowadzi, ja pójdę ostatni. Powiążemy się liną, tak jak to robią na wspinaczkach górskich. Jeśli natrafimy na jakieś niebezpieczne przejście, będziemy przechodzić pojedynczo.

Chłopcy obwiązali się liną wokół pasa, po czym Pete pierwszy ruszył w dół wąską ścieżką. Poniżej fale wznosiły się i odpływały spomiędzy ogromnych skał, osrebrzonych światłem księżyca. Schodzili coraz niżej. Rozpryskujące się fale oblewały ich jakby deszczem, a ścieżka zamieniła się w półkę skalną, nieraz tak wąską, że przesuwali się po niej krok za krokiem, wczepieni w skalistą ścianę góry. Ostatni odcinek ścieżki spadał ostro po urwisku. Wreszcie znaleźli się na małej piaszczystej plaży, opustoszałej teraz, ale noszącej ślady obecności ludzi. Waląły się po niej puszki po piwie, butelki po napojach i resztki jedzenia.

- Pójdziemy wokół stoku - zdecydował Jupiter. - Rozglądajcie się bacznie za jakimś otworem.

Górę pokrywały karłowate drzewa i niskie, gęste krzewy, wyrosłe między dużymi, krągłymi głazami. W świetle latarek chłopcy przeszukiwali krzaki, zaglądali pod głazy, ale nie znaleźli nic, co mogłoby być wejściem do jaskini.

- Wydaje mi się, że szukamy w złym miejscu, Jupe - odezwał się Pete.

- A gdzie jeszcze można szukać? - zapytał Bob.

- Nikt nam nie mówił, że istnieje w ogóle drugie wejście. Jeśli więc jest jakieś, założę się, że jest dobrze ukryte - odparł Pete.

- Myślisz, że nie może być dostępne z plaży? - spytał Bob. - Ale musi być gdzieś blisko. Przecież ta ścieżka jest jedyną drogą w dół.

- Chyba masz rację - powiedział Jupiter. - Bob, chodź ze mną. Przeszukamy prawą stronę. Pete, ty idź w lewo.

Skały zamykające plażę były śliskie, pokryte wodorostami i muszlami. Jupiter i Bob przechodzili przez nie ostrożnie, oświetlając ścianę urwiska w poszukiwaniu otworu. Dotarli w końcu do miejsca, z którego nie można było iść dalej, nie zagłębiwszy się w wodzie. Zniechęceni zamierzali właśnie zawrócić, gdy dobiegło ich wołanie Pete'a.

- Znalazłem!

Przełamali się przez mokre kamienie i pobiegli na łeb na szyję przez plażę. Pete stał poza jej obrębem, na dużym, płaskim głazie. Między dwoma gigantycznymi, okrągłymi kamieniami zobaczyli otwór. Był mały i na wysokości zaledwie kilkudziesięciu centymetrów nad lustrem wody.

- Słuchajcie.

Dźwięk nie budził wątpliwości

- Aaaaaaa-uuuu-uuu-uu!

Płynął z otworu, ledwie uchwytny, jakby z przepastnej głębi jaskini. Pete skierował snop światła latarki na skalne wejście. Było czarne, mokre i bardzo wąskie. Tunel zdawał się biec wprost w głąb góry.

## ROZDZIAŁ 7

### Odgłosy nocy

- To jest okropnie wąskie i wilgotne, Jupe - powiedział niespokojnie Pete.

- I może prowadzić donikąd - dodał Bob.

- Nie, to musi być wejście do jaskini - upierał się Jupiter. - W przeciwnym razie nie słyszelibyśmy tego jęku.

- Ale ten otwór jest taki mały... - głos Pete'a był pełen wątpliwości.

Jupiter przykucnął i wpatrzył się w tunel.

- Myślę, że jeśli będziemy się zachowywać ostrożnie, możemy spokojnie wejść do środka. Bob, ty jesteś najmniejszy. Owiążemy cię liną i wsuniesz się pierwszy.

- Ja? Tam? Zdaje się, że mieliśmy się trzymać razem.

- To by było nierozsądne, wchodzić razem - tłumaczył Jupiter. - Jeśli chce się sforsować nieznanne przejście, jedynym rozsądnym sposobem jest posłanie najpierw jednej osoby zabezpieczonej liną, podczas gdy pozostałe zostają na zewnątrz, gotowe w każdej chwili wyciągnąć tę pierwszą, gdyby napotkała jakieś niebezpieczeństwo.

- Tak, tak - wtrącił Pete. - Widziałem to na filmie o obozie jenieckim. Kiedy żołnierze kopią tunel, zawsze jeden jest na przedzie obwiązany liną. Jak nią szarpnie, reszta wyciąga go na zewnątrz.

- Właśnie - powiedział Jupiter z lekką irytacją w głosie. Pierwszy Detektyw nie lubił, gdy ktoś wykazywał, że jego pomysł nie jest oryginalny.

- Pamiętaj, szarpnij mocno linę, gdybyś miał jakieś kłopoty - zwrócił się do Boba. - Natychmiast cię wyciągniemy.

Nie bardzo przekonany, lecz dzielnie opanowując strach, Bob obwiązał się mocno liną w pasie i wczołgał się do wąskiego tunelu.

W środku panowały ciemności i chłód. Sklepienie było o wiele za niskie, by mógł stanąć, a ściany mokre i oślizgłe, pokryte morskim mchem. Posuwał się naprzód wolno, na czworakach. W świetle latarki kraby pierzchały na boki, skrobiąc kleszczami mokrą skałę.

Po mniej więcej dziesięciu metrach strop nagle załamał się ostro w górę. Bob wstał. W świetle latarki widział, że tunel prowadzi wciąż na wprost, ale jest już szeroki, suchy i lekko się wznosi.

- Jupe! Pete! Wszystko w porządku! - krzyknął za siebie.

Wkrótce obaj przyjaciele przyłączyli się do niego.

- Tutaj jest zupełnie sucho - zdziwił się Pete.

- Ta część tunelu musi być powyżej linii przyływu - powiedział Jupiter. - Zaczęły znaczyć naszą drogę. Nasłuchujcie przez cały czas, skąd dochodzą jęki, żebyśmy szli we właściwym kierunku.

Szli ostrożnie naprzód, a Jupiter zatrzymywał się co parę kroków, rysując na ścianie białą kredą znak zapytania i strzałkę. Po kilkunastu metrach korytarz zawiódł ich do nowej obszernej groty, jednej z wielu, które zdawały się dziurawić jak rzeszoto całe wnętrze Diabelskiej Góry. Ponownie znaleźli tu liczne otwory wejściowe bocznych tuneli.

Stanęli pośrodku zdezorientowani.

- Znowu problem - powiedział Pete.

- Ta góra to istny ser szwajcarski - Bob był już zniechęcony. - Jak uda nam się kiedykolwiek wytropić źródło tego jęku?

Jupiter jednak ani nie rozglądał się po nowej grocie, ani nie szukał otworów licznych korytarzy. Słuchał.

- Czy któryś z was słyszał jęk, od kiedy weszliśmy? - zapytał.

Bob i Pete zastanawiali się przez chwilę.

- O, do diabła, nie! - zaklął Bob.

- Słyszałem tylko, kiedy byłem na zewnątrz - powiedział Pete.

- Nie słyszałem także, kiedy się czołgałem przez pierwszy odcinek tunelu - dodał Bob.

Jupiter skinął głową.

- Jak tylko wchodzimy do środka, jęk ustaje. Wielce podejrzana sprawa. Raz mógł to być przypadek, po raz drugi wygląda na jakąś prawidłowość.

Pete spojrzał na niego zaintrygowany.

- Myślisz, że wchodząc, zmieniamy coś w jaskini, nie zdając sobie z tego sprawy?

- To jedna z możliwości - przytaknął Jupiter.

- Inna, że ktoś nas widział - powiedział Bob. - Ale jak mógł nas widzieć na plaży w ciemnościach?

Jupiter pokręcił bezradnie głową.

- Muszę przyznać, że sam jestem zbity z tropu. Być może...

Usłyszeli dźwięk wszyscy równocześnie. Ledwie uchwytny, daleki odgłos dzwonek i klip-klap, klip-klap końskich podków.

- Koń! - wykrzyknął Bob.

Jupiter przekrzywił głowę i nasłuchiwał bacznie. Odgłos zdawał się dochodzić zza ściany groty.



- On... on jest wewnątrz góry!

- Nonsens, Jupe - powiedział Bob. - Musi być gdzieś w dalszej części jaskini.

Jupiter potrząsnął głową.

- Jeśli mój zmysł orientacyjny mnie nie zawodzi, dalsza część jaskini znajduje się po przeciwnej stronie. Ta ściana jest równoległa do zbocza góry i żaden tunel nie prowadzi w tym kierunku!

- Może lepiej stąd wyjdźmy... - wymamrotał Pete.

- Myślę, że masz rację - przytaknął pośpiesznie Jupiter.

- Chodźmy!

Chłopcy przepychali się jeden przez drugiego, biegnąc wąskim korytarzem. Pete pierwszy dopadł małego tunelu i wczuł się do niego błyskawicznie. Bob i Jupiter tuż za nim.

Wypadli na zewnątrz zanurzając się po kolana w wodzie. Biegli, potykając się o kamienie i wreszcie zwalili się na biały piasek plaży. Leżeli, dysząc ciężko.

- Skąd właściwie dochodziły te odgłosy? - odezwał się wreszcie Bob.

- Nie mam pojęcia - wyznał niechętnie Jupiter. - Myślę jednak, że zbadaliśmy dość na jeden wieczór. Wracajmy do domu.

Bob i Pete z ulgą wspinali się wąską ścieżką za Pierwszym Detektywem. Dotarli już niemal do żelaznej furtki, gdy Jupiter zatrzymał się nagle. Pete nieomal wpadł na niego w ciemnościach.

- Co ty wyprawiasz, Jupe!

Jupiter nie odpowiedział. Wpatrywał się w podwójny szczyt Diabelskiej Góry.

- Co jest? - szepnął Bob.

- Przyszło mi coś właśnie do głowy - odparł wolno Jupiter. - Poza tym zdawało mi się, że coś się rusza tam, na górze...

Z ciemności nadbiegł dźwięk dzwonek i znajome klip-klap, klip-klap.

- Och, nie - jęknął Bob.

- Czy to jest to samo, co słyszeliśmy w jaskini? - zapytał szeptem Pete.

- Tak sądzę - powiedział Jupiter. - Odgłosy musiały się przesączać z zewnątrz przez jakąś szczelinę w skale. Takie pęknięcia świetnie przenoszą dźwięki. Można odnieść wrażenie, że rozbrzmiewają wewnątrz góry.

Odgłos stukających podków był coraz bliższy i chłopcy przykucnęli w gęstych krzakach w pobliżu furtki. Wielki, czarny koń ukazał się na stromym zboczu Diabelskiej Góry. Schodził truchtem w dół. O kilka kroków od chłopców minął skrywające ich krzewy.

- Bez jeźdźca - szepnął Bob.

- Może powinniśmy go schwycić? - spytał Pete.

- Nie, nie myślę - odpowiedział Jupiter. - Poczekajmy jeszcze.

Siedzieli cicho w swym ukryciu. Nagle zamarli w bezruchu. Jakiś człowiek schodził z góry szybkim krokiem. Przeszedł tak blisko, że widzieli go dokładnie w świetle księżyca. Był wysoki, ciemnowłosy, o długim nosie. Poszarpana blizna przebiegała przez jego prawy policzek, a na prawym oku nosił czarną klapkę.

- Widzieliście tę przepaskę na oku? - syknął Pete.

- I bliznę - dodał Bob.

- Bardziej zainteresował mnie jego strój - szepnął Jupiter. - To był zdecydowanie garnitur, jaki nosi się w mieście, i jeśli się nie mylę, facet miał pistolet pod marynarką.

- Czy możemy już iść, Jupe? - zapytał Pete nerwowo.

- Tak, chodźmy - zgodził się Jupiter. - To był niezwykle interesujący wieczór.

Szli spiesznie drogą do miejsca, gdzie zostawili rowery, oglądając się niespokojnie za siebie. Nikt nie szedł za nimi, było cicho i spokojnie. Kiedy jednak jechali na rowerach, już na obrzeżu Jęczącej Doliny, długie zawodzenie przecięło nocną ciszę.

- Aaaaaaaaa-uuuu-uuuuu-uu!

Chłopcy pedałowali szaleńczo w stronę zabudowań rancza.

## ROZDZIAŁ 8

### El Diablo!

Słoneczne światło dnia obudziło Pete'a. Zdezorientowany patrzył na obce mu ściany. Gdzie jest właściwie? Wtem koń zarżał za oknem, zamuczała krowa i Pete przypomniał sobie, że jest w sypialni, którą dzieli z Bobem i Jupiterem, na Ranczu Krzywe Y. Przechylił się przez krawędź piętrowego łóżka, by zobaczyć, czy śpiący na dole Jupiter już się obudził. Jupe'a nie było.

Usiadł szybko, waląc głową w niski sufit.

- Auu! - pisnął.

- Cyt! - uciszył go Bob ze swego legowiska po drugiej stronie pokoju i wskazał w kierunku okna.

Na podłodze, przed oknem, Jupiter siedział po turecku. Wyglądał jak mały Budda w płaszczu kąpielowym. Przed nim rozpostarta była duża płachta papieru, na niej cztery książki, leżące jedna na drugiej. Na papierze Jupiter wyrysował ołówkiem jakieś linie.

Spoglądając z góry na papier, książki i linie, Pete uświadomił sobie, że Jupiter wykonał z grubsza plan Jęczącej Doliny. Zaznaczył na nim wejścia do jaskini.

- Siedzi tak już od godziny - szepnął Bob.

- O rany, nie wytrzymałbym nawet dziesięciu minut - powiedział Pete.

Umiejętność głębokiej koncentracji Jupe'a zadziwiała zawsze jego przyjaciół.

Jupiter odezwał się wreszcie:

- Ustalam topograficzne ukształtowanie Jęczącej Doliny, Pete. Mapa fizyczna terenu stanowi klucz do naszej zagadki.

- Hę?

- Jupe myśli, że możemy rozwiązać tajemnicę, studiując plan terenu - powiedział Bob.

- Aha, dlaczego nie powiedział tego od razu?

Ignorując tę wymianę zdań, Jupiter kontynuował swoje rozważania:

- Prawdziwą zagadką Jęczącej Doliny jest, dlaczego jęki ustają, gdy wchodzimy do środka. Zdarzyło się to dwukrotnie ubiegłego wieczoru, co więcej, rozległy się ponownie, gdy opuszczaliśmy tę strefę.

Wziął do ręki leżącą obok gazetę.

- Znalazłem tu wiadomość o ponownych jękach w dolinie. I wypowiedź szeryfa, że głównym powodem niemożności odnalezienia źródła i przyczyny jęków jest to, że ustają one

z chwilą wejścia ludzi do jaskini - Jupiter odłożył gazetę. - Wziąwszy wszystko razem pod uwagę, jestem przekonany, że jęk nie ustaje przypadkowo.

- Myślę, że masz rację - powiedział Bob. - Słyszeliśmy jęki nim weszliśmy do jaskini i po wyjściu z niej. Ktoś nas musiał obserwować.

- Ale jak ta... hm... mapa fizyczna pomoże nam, Jupe? - zapytał Pete.

Jupiter patrzył na swój niezbyt precyzyjny model.

- Zaznaczyłem wszystkie miejsca, w których byliśmy wczoraj. Wiemy teraz, że zawodzenie ustawało za każdym razem, kiedy wchodziliśmy do jaskini. Natychmiast po naszym wejściu, a więc zbyt szybko, by ten kto nas zobaczył, był wewnątrz jaskini.

Bob skinął głową z ożywieniem.

- Rozumiem! Zauważono nas, nim weszliśmy do środka.

- Właśnie! - potwierdził Jupiter. - Na podstawie mojego modelu wydedukowałem, że tylko z jednego miejsca mogliśmy być widziani, gdziekolwiek nie poszlibyśmy, i jest to szczyt Diabelskiej Góry.

- Zostało nam tylko jedno do zrobienia: powiedzieć panu Daltonowi, że ktoś jest na tej górze i niech go łapie! - wykrzyknął Pete.

Jupiter potrząsnął głową.

- To nie takie proste, Pete. Nikt nam nie uwierzy, dopóki nie schwytają tego człowieka, a jest niemal niemożliwe dotrzeć na szczyt, nie będąc zauważonym. Zawsze zdąży uciec i ukryć się.

- Co... - zaczął Bob.

- Jak... - zawtórował mu Pete.

- Będziemy obserwowali, co się rzeczywiście dzieje w jaskini, tak długo, aż będziemy mogli wszystko wyjaśnić - przerwał im Jupiter.

- Byliśmy tam już i nie mamy pojęcia, czy coś się tam w ogóle dzieje - powiedział Pete.

- Nie, ale przemyślałem pewien plan - odparł Jupiter. - Mam także pewną poszlakę, która pomoże nam wyjaśnić, o co tu właściwie chodzi.

- Naprawdę? Co to jest?

- Znalazłem to wczoraj w jednym z korytarzy - Jupiter pokazał im szorstki, czarniawy kamyk. - Ten korytarz był kiedyś szybem kopalni, a ten kamień znalazłem na jego końcu, to znaczy tam, gdzie szyb został zablokowany.

Bob wziął do ręki mały kamień, obejrzał z zaciekawieniem i podał Pete'owi.

- Ale co to jest, Jupe? - pytał Pete. - To znaczy poza tym, że jest to twardy, śliski

kamień.

- Przejeżdż tym po szkle - powiedział Jupiter.

- Co? Nie można tym...

- Spróbuj! - Na okrągłej twarzy Jupitera malowało się zadowolenie. Pete podszedł do okna i przeciągnął kamykiem po szkle. Wszedł w nie jak w masło. Pete zagwizdał przeciągle.

- Jupe! - wykrzyknął Bob. - Chcesz powiedzieć, że to jest...

- Diament - dokończył Jupiter. - Tak jest, nie obrobiony diament. I to całkiem spory. Myślę, że nie jest dobrej jakości, prawdopodobnie nadaje się tylko do użytku przemysłowego, ale to diament.

- Myślisz, że jaskinia El Diablo jest kopalnią diamentów? Tu, w Kalifornii? - pytał sceptycznie Bob.

- No, były pewne pogłoski i myślę ...

Przerwało mu donośne pukanie do drzwi, zza których dobiegł głos pani Dalton:

- Wstawać, chłopcy! Śniadanie na stole. Nie wylegujemy się tu do późna!

Chłopcy uświadomili sobie nagle, jak bardzo są głodni, i myśl o śniadaniu odsunęła wszystkie inne na dalszy plan. Umyli się i ubrali błyskawicznie i w parę minut zjawili się w obszernej kuchni. Pan Dalton i profesor Walsh roześmiali się na ich widok.

- Widzę, że Jęcząca Dolina i jej tajemnica nie odebrały wam apetytu - powiedział profesor.

Pani Dalton zakrzętnęła się po kuchni i wkrótce chłopcy wcinali biały chleb z szynką i popijali zimne, świeże mleko z dużych kubków.

- Jesteście chłopcy gotowi popracować dziś trochę? - zapytał pan Dalton.

- Pewnie, że są - odpowiedziała za nich pani Dalton. - Może weźmiesz ich na sianokosy na północną łąkę?

- Dobry pomysł. Potem mogą pomóc przy zbłąkańcach.

Chłopcy czytali trochę o życiu na farmie i wiedzieli, że zbłąkańcy to bydło, które odłączyło się od głównego stada i nie może znaleźć drogi powrotnej.

- Mielicieście wczoraj miły spacer po plaży? - zapytał profesor Walsh. - Znaleźliście coś ciekawego?

- Zrobiliśmy bardzo interesującą wyprawę - odparł Jupiter. - Spotkaliśmy dość dziwnego starego człowieka. Powiedział, że nazywa się Ben Jackson. Kto to jest, proszę pana?

- Stary Ben i Waldo Turner są poszukiwaczami - wyjaśnił pan Dalton. - Swego czasu poszukiwali złota, srebra i cennych kamieni po całym Zachodzie.

- Przybyli tu wiele lat temu, kiedy rozeszły się pogłoski, że znaleziono złoto w tej okolicy - dodała pani Dalton. - Oczywiście nie ma tu żadnego złota, ale stary Ben i Waldo nie dają za wygraną i wciąż uważają się za poszukiwaczy. Mają chatę na naszej ziemi. Nie lubią, by ich odwiedzać, ale nie odmawiają brania datków od okolicznych farmerów. Oczywiście nazywamy to pożyczką, nigdy nie przyjęliby jałmużny. Twierdzą, że zwrócą wszystko, jak tylko znajdą złoto.

- To dość sławne lokalne postacie - wtrącił profesor.

- Mogą opowiadać nie lada historie - pan Dalton uśmiechnął się. - Prawdę mówiąc, są dość ekscentryczni i większość ich opowieści to zwykle bajki. Opowiadają na przykład o walkach z Indianami, ale wątpię, czy kiedykolwiek miały one miejsce.

- To ci heca! - wykrzyknął Pete. - Pewnie wszystko, co nam wczoraj nagadał, to kłamstwo!

Nim pan Dalton zdążył odpowiedzieć, tylne drzwi wejściowe rozwarły się na oścież i do kuchni wszedł spieszenie rządca, Luke Hardin.

- Właśnie znaleźli młodego Castro w dolinie - powiedział ponuro.

- Co mu się stało? - pan Dalton zerwał się z krzesła.

- Koń go zrzucił zeszłego wieczoru, jak przepędzał jakieś zbłąkane stado. Leżał bez pomocy całą noc.

- W jakim jest stanie?

- Doktor mówi, że wszystko w porządku, tylko potłuczenia i skręcił nogę w kostce. Ale wzięli go do szpitala w Santa Carla, bo podobno jest w szoku.

- Idę go natychmiast zobaczyć - pan Dalton zbierał się do wyjścia.

- Znowu dwaj pracownicy powiedzieli mi, że odchodzą - dodał Hardin ze smutkiem. - Ponoć Castro mówił im, że coś się przemykało w Jęczącej Dolinie. Jak się zbliżył, to coś spłoszyło mu konia. Stał dęba, zrzucił go i uciekł.

Daltonowie popatrzyli na siebie zatroskani.

- Czy to był duży, czarny koń? - zwrócił się Jupiter do rządcy.

- Tak, Duży Heban. Dobry koń. Sam wrócił dziś rano. Stąd wiedzieliśmy, że trzeba szukać młodego Castro.

- Czy widzieliście, chłopcy, Dużego Hebana zeszłego wieczoru? - zapytał pan Dalton.

- Tak, proszę pana - odpowiedział Jupiter. - Widzieliśmy dużego, czarnego konia bez jeźdźca.

- Powinniście zawsze zgłaszać taką sprawę, chłopcy - powiedział pan Dalton surowo.

- Znalezlibyśmy Castro dużo wcześniej.

- Powiedzielibyśmy, proszę pana, ale widzieliśmy, że za koniem szedł jakiś człowiek i sądziliśmy, że to jeździec. To był wysoki mężczyzna, miał bliznę na prawym policzku i przepaskę na oku.

- Nigdy nie słyszałem o kimś takim.

- Wysoki z przepaską na oku? - podchwycił profesor Walsh. - Brzmi groźnie, ale zdecydowanie to nie był El Diablo, co? On nie był wysoki i nie miał przepaski.

Pan Dalton skierował się do drzwi.

- Luke, uspokój ludzi, jeśli zdołasz. Odwiedzę Castra w szpitalu, a potem przyjdę do was na północną łąkę. Po drodze wstąpię jeszcze do szeryfa i zapytam go o człowieka, którego chłopcy widzieli wczoraj.

- Jeśli jedzie pan do miasta, czy zechciałby pan zabrać mnie ze sobą? - zapytał Jupiter.

- Muszę pojechać dziś do Rocky Beach.

- Dlaczego, Jupiter? Czy nie chcesz zostać tu dłużej? - zapytała pani Dalton.

- Ależ tak, chętnie - zapewnił ją Jupiter. - Potrzebujemy tylko ekwipunku do nurkowania. Wczoraj widzieliśmy rafy przybrzeżne, które zdają się być pełne interesujących okazów dla naszych morskich studiów biologicznych.

Bob i Pete patrzyli na Jupe'a szeroko otwartymi oczami. Nie przypominali sobie ani żadnych raf, ani prowadzenia studiów biologicznych. Ale nie odezwali się. Wiedzieli, że ma to związek z planem działania, który Jupiter opracował, i nauczyli się nie zadawać mu wtedy pytań.

- Obawiam się, że nie będę miał czasu dziś odwiedzić cię do Rocky Beach - powiedział pan Dalton. - Nie mam też nikogo wolnego z ciężarówką. Poczekaj lepiej parę dni.

- Ależ to zupełnie niepotrzebne, proszę pana. Proszę mnie tylko podrzucić do miasta. Pojadę stamtąd autobusem i ktoś przywiezie mnie z powrotem.

- Przygotuj się więc szybko - powiedział pan Dalton i wyszedł.

Pani Dalton spojrzała na Boba i Pete'a.

- Wy, chłopcy, też znajdźcie sobie jakieś zajęcie. Obawiam się, że mąż nie będzie miał dzisiaj czasu zająć się wami.

- Och, proszę się nie kłopotać, damy sobie radę - odparł Bob.

Chłopcy wrócili do swego pokoju. Jupiter pozbierał rzeczy potrzebne mu na drogę. Pakując je, wydawał pospieszne polecenia Bobowi i Pete'owi.

- Pojedźcie na rowerach do Santa Carla i kupcie tuzin zwykłych, dużych świec, a także trzy meksykańskie sombrera. Jest dzisiaj Fiesta w Santa Carla, więc na pewno sprzedają mnóstwo takich kapeluszy. Pani Dalton powiedzcie, że chcecie zobaczyć paradę.

- Trzy sombrero? - powtórzył Pete.

- Tak jest - odparł Jupiter bez dalszych wyjaśnień. - Bob, pójdz też w Santa Carla do biblioteki i postaraj się dowiedzieć jak najwięcej o historii Jęczącej Doliny i Diabelskiej Góry. Chodzi mi o ścisłe fakty, a nie legendy.

- Rozumiem. Po co właściwie jedziesz do Rocky Beach?

- Po ekwipunek do nurkowania, tak jak powiedziałem. Chcę także dać diament do zbadania u eksperta w Los Angeles. Z dołu rozległo się wołanie pana Daltona:

- Jupiter! Gotowy?

Zbiegli pospiesznie na dół. Jupiter wsiadł do kabiny pikapa i odjechał, nie wyjaśniewszy, co właściwie ma zamiar zrobić ze sprzętem do nurkowania.

Bob i Pete pomogli trochę pani Dalton w kuchni, po czym Bob pożyczył od niej kartę biblioteczną i ruszyli w drogę.

- Bawcie się dobrze, chłopcy! - wołała za nimi pani Dalton.

Droga do Santa Carla wiodła przez góry Południowej Kalifornii. Początkowo biegła przez rozległą dolinę, by następnie zacząć się wznosić ku górskiej przełęczy. Bob i Pete czuli miłe podekscytowanie wyprawą. Cieszyła ich perspektywa zobaczenia słynnej Fiesty. Jadąc, oddalali się od morza i słońce prażyło niemiłosiernie. Zauważyli, że wszystkie małe dopływy rzeki Santa Carla są wyschnięte. W pewnym punkcie droga przecinała szerokie koryto samej rzeki Santa Carla. Poniżej mostu rzeka wyschła zupełnie, niewielkie rośliny porastały jej spieczone słońcem dno.

Wkrótce szosa zaczęła się wznosić ku przełęczy San Mateo. Musieli zsiąść z rowerów i prowadzić je stromą serpentyną. Po prawej stronie otwierały się górskie kotliny, po lewej - wznosiła się stroma, skalista ściana gór. Chłopcy szli wolno w jaskrawym słońcu. Po długiej, zmudnej wędrówce osiągnęli wreszcie szczyt przełęczy. Przystanęli zmęczeni.

- Och! Popatrz! - wykrzyknął Pete, a Bob zawtórował mu pełnym zachwytem "Ach!"

Przed nimi rozciągała się zapierająca dech panorama. Brązowe góry opadały głęboko w dół. U ich podnóża zielona równina biegła ku błękitnym wodom oceanu. Miasto Santa Carla skryło się w słońcu, jego domy wyglądały jak białe pudełka wśród bezmiaru zieleni. Po tafli morza przesuwały się statki. W oddali zielone punkty wysp zdawały się płynąć.

Chłopcy podziwiali wciąż wspaniałą widok, gdy rozległ się za nimi głuchy tętent kopyt końskich. Obrócili się gwałtownie. Zobaczyli pędzącego drogą, prosto na nich, jeźdźca na dużym, czarnym koniu, w obrzeżonej srebrem uździe. Srebro zdobiło też hiszpańskie siodło, o olbrzymim, błyszczącym w słońcu łuku.

Stali jak sparalizowani, wpatrując się w szarżującego na nich konia. Jeździec był



małym, szczupłym mężczyzną, o ciemnych oczach. Nosił czarne sombrero, krótki czarny żakiet, rozkloszowane dołem spodnie i czarną chustkę, skrywającą dolną część twarzy. Trzymał w ręce staroświecki, wycelowany wprost w chłopców pistolet.

El Diablo!

## ROZDZIAŁ 9

### Nieoczekiwany atak

Czarny koń stanął dęba, wierzgając dziko kopytami wysoko ponad głowami osłupiałych chłopców.

Jeździec zamachał pistoletem i krzyknął “Viva Fiesta!”, po czym ściągnął chustkę, ukazując chłopięcą, figlarną twarz.

- Chodźcie na Fiesta! - zawołał, zawrócił konia w powietrzu i pogalopował w dół, w stronę Santa Carla. Chłopcy patrzyli za nim jak urzeczeni.

- Kostium na paradę - jęknął Pete.

Spojrzeni na siebie i wybuchnęli śmiechem. Przestraszyć się chłopca w przebraniu!

- Założę się, że będzie z dziesięciu El Diablo na Fieście - powiedział Pete.

- Mam nadzieję, że nie wpadniemy na żadnego z nich w ciemnej uliczce - odpowiedział Pete.

Wsiadli na rowery i pojechali w dół długą, krętą drogą. Wkrótce góry zostały za nimi, wjechali w przedmieścia Santa Carla. Minęli pole golfowe, kilka centrów handlowych i pierwsze domy, położone na skraju kipiącego życiem ośrodka wypoczynkowego.

W śródmieściu zostawili rowery w stojaku za biblioteką i poszli ulicą Unii, główną arterią Santa Carla. Wzdłuż jezdni stały policyjne kordony dla ochrony parady, która miała się niebawem rozpocząć. Gromadzili się widzowie, większość w barwnych strojach z dawnych hiszpańskich czasów. Panowało ożywienie, czuło się odświętny nastrój.

Bob i Pete szybko załatwili wszystko w małym sklepiku z pamiątkami. Kupili tuzin grubych, białych świec i trzy słomkowe sombrera. Następnie znaleźli sobie miejsce przy krawężniku, właśnie w chwili, gdy przemaszerowała otwierająca pochód orkiestra, dmąc w trąbki i waląc siarczyście w bębny.

Za orkiestrą jechały przybrane kwiatami platformy, na których dziewczęta i chłopcy w kostiumach odtwarzali w żywych obrazach najważniejsze zdarzenia z historii Kalifornii. Jeden przedstawiał ojca Junipero Serra, franciszkanina i misjonarza, założyciela większości pięknych, starych misji wzdłuż wybrzeża Kalifornii. Inny prezentował scenę, w której John C. Fremont wznosił amerykańską flagę nad Santa Carla po zwycięstwie nad Meksykiem. Pokazano też słynną ucieczkę El Diablo. Pięciu El Diablo jechało wokół tej platformy, między nimi uśmiechnięty młody człowiek na czarnym koniu, który tak wystraszył Boba i Pete'a na szczycie przełęczy.

- Popatrz na te konie! - wykrzyknął Bob.

- Chciałbym umieć tak jeździć - Pete patrzył z zachwytem na wyczyny młodych ludzi na koniach.

Obaj chłopcy byli dobrymi jeźdźcami, ale nie tak doskonałymi, jak uczestnicy parady. Niektóre konie wykonywały zawile, taneczne kroki. Nadjechali ranczerzy w hiszpańskich strojach oraz oddziały policji konnej z dolnej i górnej części stanu. Za nimi ukazały się powozy, kryte wozy pierwszych osadników i dyliżanse. Wreszcie wtoczyła się platforma, na której upozowany był żywy obraz przedstawiający czasy "gorączki złota". Bob chwycił Pete'a za ramię.

- Patrz! - zawołał, wskazując dwu mężczyzn idących obok platformy. Prowadzili osła obciążonego prowiantem, łopatami, szpadlami i kilofami. W jednym z nich rozpoznali brodatego, starego człowieka z jaskini - Bena Jacksona.

- Ten drugi to pewnie jego partner, Waldo Turner - powiedział Bob.

Obaj starzy panowie zdawali się budzić zachwyt wśród obserwującego tłumu. Wyglądali jak prawdziwi poszukiwacze, aż po kurz i błoto pokrywające ich górnicze ubrania. Stary Ben był wyraźnie uszczęśliwiony. Jego biała broda powiewała na wietrze, gdy kuśtykał dumnie, prowadząc osła. Za nim szedł Waldo Turner, wyższy i szczuplejszy, bez brody, lecz z białym wąsem.

Wciąż nadjężdżały nowe platformy, maszerowały orkiestry i chłopcy omal nie zapomnieli o swej misji w bibliotece. Wtem Pete dostrzegł kogoś w tłumie widzów.

- Bob - szepnął nagle.

Bob spojrzał we wskazanym kierunku. Zobaczył wysokiego mężczyznę ze szramą na twarzy i przepaską na oku. Nie interesował się zupełnie paradą. Przeszedł ulicą i zniknął w tłumie.

- Chodźmy - powiedział Bob i ruszyli w tę samą stronę.

Zobaczyli go znowu na rogu ulicy. Szedł szybko, parę metrów przed nimi. Od czasu do czasu zwalniał i jakby wypatrywał czegoś przed sobą.

- Myślę, że on kogoś śledzi - powiedział Bob.

- Kto to może być? Widzisz kogoś przed nim? - spytał Pete.

- Nie, ty jesteś wyższy.

Pete wyciągnął się, jak mógł najwyżej, ale nie był w stanie zobaczyć nikogo ani niczego, co stanowiłoby obiekt zainteresowania mężczyzny z blizną. Spostrzegł natomiast coś innego.

- Wchodzi do budynku! - zawołał.

- To biblioteka! - wykrzyknął Bob.

Pobiegli ku podwójnym, wysokim drzwiom biblioteki, za którymi właśnie znikł mężczyzna. Stanęli w holu, rozglądając się uważnie. Przy odbywającej się Fieście, biblioteka była niemal opustoszała, ale wysokiego człowieka nie mogli nigdzie dostrzec.

Główna sala była duża, mieściła liczne półki wypełnione książkami. Wiodły z niej przejścia do innych pomieszczeń. Chłopcy szybko przesunęli się między regałami, zajrzeli do sąsiednich sal, nadal bez rezultatu. Stwierdzili w końcu, że biblioteka ma drugie wyjście, prowadzące na boczną ulicę.

- Zgubiliśmy go - powiedział Pete z zawodem w głosie.

- Powinniśmy się byli rozdzielić. Gdyby jeden z nas poszedł do drugiego wejścia, facet nie zniknąłby nam. Jupiter wiedziałby, że biblioteki mają zawsze więcej niż jedno wejście - Bob był wściekły na siebie, że nie pomyślał o tak oczywistym fakcie.

- Trudno, stało się - Pete wzruszył ramionami. - Jak już tu jesteśmy, weźmy się do zebrania tych wiadomości, które chciał mieć Jupe.

Zaczerpnęli informacji u miłego bibliotekarza, który skierował ich do niewielkiej salki zawierającej książki historyczne. Właśnie podchodzili do kontuaru, gdy ciężka dłoń spoczęła na ramieniu Pete'a.

- Proszę, proszę, nasi młodzi detektywi!

Za nimi stał profesor Walsh, patrząc na nich przenikliwie zza grubych szkieł okularów.

- Szukacie, chłopcy, czegoś? - zapytał.

- Tak, proszę pana - odparł Bob. - Chcemy dowiedzieć się jak najwięcej o Jęczącej Dolinie.

- Dobrze, bardzo dobrze - profesor pokiwał głową. - Sam jestem tym zainteresowany. Nie miałem jednak wiele szczęścia. Zdaje się, że nie mają tu nic, poza wątpliwymi legendami. Czy byliście na Fieście?

- O tak! - wykrzyknął Pete entuzjastycznie. - Ale konie! A co za wspaniali jeźdźcy!

- To piękne obchody. Myślę, że pójde popatrzeć trochę na paradę, skoro już tu mi się nie powiodło. Jak wrócicie na ranczo, chłopcy?

- Mamy rowery - odpowiedział Bob.

- Dobrze, do zobaczenia więc - profesor zwrócił się powoli ku wyjściu. Bob zawahał się, po czym zapytał:

- Czy będąc tu, nie widział pan przypadkiem wysokiego mężczyzny z przepaską na oku?

- Masz na myśli tego samego człowieka, którego widzieliście zeszłego wieczoru?

- Tak, proszę pana.

- Tu, w mieście? - profesor zdawał się być zamyślony. - Nie, nie widziałem go.

Po wyjściu profesora Bob i Pete zabrali się do pracy. Znaleźli trzy książki, w których były wzmianki o Jęczącej Dolinie, ale żadna z nich nie mówiła nic nowego ponad to, co już wiedzieli. Wtem Bob natknął się przypadkowo na książkę o pożółkłych, pomarszczonych kartkach, która stanowiła kompletną historię Doliny aż po rok 1941. Stała na niewłaściwej półce i zapewne dlatego nie znalazł jej profesor Walsh.

Pożyczyli książkę na kartę pani Dalton i opuścili bibliotekę. Na dworze było wciąż gorąco i słonecznie. Parada właśnie się kończyła. Z centrum wylewał się tłum ludzi, wielu w kostiumach. Chłopcy przymocowali pakunki do bagażników rowerów i ruszyli w powrotną drogę. Wkrótce wspinali się po długim stoku ku przełęczy San Mateo. Jechali, jak długo było to możliwe, po czym zsiadli z rowerów i szli dalej piechotą.

Zatrzymali się dla odpoczynku. Stojąc na poboczu szosy, patrzyli na Channel Islands, zamglone w oddaleniu.

- Chciałbym kiedyś pojechać na te wyspy - powiedział Pete.

- Na niektórych z nich hoduje się bydło i oczywiście są kowboje - odrzekł Bob.

W pobliżu wysp przesuwały się smukłe, szare kadłuby okrętów marynarki wojennej. Od strony Santa Carla nadjeżdżał samochód, ale zapatrzeni w ocean chłopcy nie zwrócili na niego uwagi. Dopiero ogłuszający ryk jadącego z maksymalną szybkością auta, zmusił ich do odwrócenia się. Stanęli twarzą w twarz ze śmiertelnym niebezpieczeństwem. Samochód pędził poboczem szosy prosto na nich.

- Uważaj, Bob! - krzyknął Pete.

Obaj uskoczyli w ostatniej chwili. Samochód minął ich z łoskotem, znów wjechał na szosę i pomknął dalej.

Ale desperacki skok zaniósł ich poza skraj drogi. Nogi ześlizgiwały się im po stromym stoku. Nie było pod ręką nic, czego mogliby się uchwycić. Obsuwali się coraz niżej i niżej w głąb przepaści.

## ROZDZIAŁ 10

### Jupiter wyjawia swój plan

Pete zsuwał się w dół stromego stoku, ostre kamienie i krzaki rozdzierały mu ubranie. Czepiał się zarośli, starając się zahamować spadanie. Wiedział, że zbocze kończy się zupełnie pionowo. Ale rośliny były zbyt słabo ukorzenione by go zatrzymać. Był zaledwie o metr od miejsca, gdzie spadek załamywał się w pionową ścianę, gdy wyrznął o gruby pień karłowatego drzewa.

- Uff! - sapnął, a jego ramiona instynktownie oplotły pień. Przez moment leżał bez ruchu, obejmując kurczowo drzewo i dysząc ciężko. Wtem uświadomił sobie, że jest sam.

- Bob! - krzyknął.

Nie było odpowiedzi.

- Bob!! - wrzeszczał rozpaczliwie.

Coś poruszyło się na lewo od niego. Między gęstymi krzewami ukazała się twarz Boba.

- Jestem cały... zdaje się - Bob mówił słabym głosem. - Leżę na czymś w rodzaju występu skalnego. Tylko... nie mogę poruszyć nogą.

- Staraj się choć troszkę.

Pete czekał obserwując lekkie poruszenia w zaroślach, gdzie leżał Bob. Wreszcie dobiegł go głos przyjaciela, nieco silniejszy:

- Myślę, że nie jest tak źle. Mogę nią ruszyć. Była skręcona pode mną. Boli, ale nie za bardzo.

- Sądysz, że będziesz mógł się wczolgać z powrotem na górę?

- Nie wiem, Pete. Jest okropnie stromo.

- I jak się pośliźniemy... - Pete nie musiał kończyć zdania.

- Myślę, że lepiej będzie, jak spróbujemy wołać o pomoc - powiedział Bob.

- Głośno! - zgodził się Pete.

Otworzył szeroko usta, ale z jego gardła wydobył się tylko słaby jęk. Właśnie w chwili, gdy chciał wrzasnąć, jak mógł najgłośniejszy, dostrzegł wysoko, nad krawędzią drogi, zwróconą ku nim twarz. Pociągnął twarz z poszarpaną blizną i z przepaską na oku!

Przez długich dziesięć sekund chłopcy i mężczyzna ze szramą wpatrywali się w siebie. Potem twarz znikła nagle, z drogi dał się słyszeć tupot stóp, warkot silnika i pisk opon, samochód odjeżdżał szybko.

Odgłos motoru zamierał powoli, gdy chłopcy usłyszeli, że nadjeżdża inny pojazd.

- Wrzeszcz! - krzyknął Pete.

Obaj krzyczeli, ile sił w płucach, "na pomoc!", a echo niesło ich wołanie przez góry. Na drodze nad nimi zgrzytnęły hamulce, zachrząścił żwir i dwie miłe twarze ukazały się nad krawędzią drogi.

Wkrótce gruba lina opadła na wprost Peta. Opasał się nią dwukrotnie, uchwycił mocno wolny koniec sznura i został wciągnięty na górę. Lina została rzucona po raz drugi i po chwili Bob stanął obok Pete'a na szosie.

Stwierdził, że nogę ma tylko wykręconą. Sympatyczny kierowca ciężarówki, który dostarczył linę i pomógł ich wciągnąć, jechał w stronę Rancza Krzywe Y. Nalegał, by po tych wszystkich przejściach chłopcy nie ryzykowali zmudnej jazdy rowerami i zabrali się z nim ciężarówką.

W niecałe piętnaście minut zostali odstawieni, wraz z rowerami, pod główną bramę rancza. Podziękowali kierowcy i powlekli się w stronę domu.

Pani Dalton wyszła właśnie na ganek. Zobaczywszy ich, krzyknęła z przerażeniem:

- O Boże! Co się stało? Wasze ubrania są w strzępach!

Pete właśnie zamierzał odpowiedzieć, gdy poczuł lekkie kopnięcie w kostkę.

- Zjeżdżaliśmy z góry za szybko i przewróciliśmy się - powiedział szybko Bob. - Skręciłem trochę nogę i jeden pan nas podwiózł.

- Skręciłeś nogę? Pokaż no ją, Bob.

Jak większość kobiet żyjących na farmie, pani Dalton potrafiła udzielić pierwszej pomocy. Zbadła nogę Boba i stwierdziła, że jest tylko lekko skręcona. Doktor nie będzie potrzebny, ale nie trzeba nogi nadwerężyć. Usadowała Boba w wygodnym fotelu na werandzie i przyniosła mu wielką szklankę lemoniady.

- Ale ty, Pete, jesteś w formie dość dobrej, żeby trochę popracować - powiedziała. - Mąż jeszcze nie wrócił, więc możesz się zabrać do karmienia koni we frontowej zagrodzie.

- Oczywiście, proszę pani - zgodził się Pete skwapliwie.

Bob siedział sobie uśmiechnięty w cieniu, z nogą opartą na krześle, podczas gdy jego przyjaciel pracował w słonecznej spiekocie. Pete rzucał w jego stronę piorunujące spojrzenia, ale w gruncie rzeczy fizyczny wysiłek w słońcu sprawiał mu satysfakcję.

Tuż przed obiadem zajechał Jupiter ciężarówką ze składu złomu swego wuja, prowadził ją duży, jasnowłosy pomocnik pana Jonesa, Konrad. Pete pomógł wyładować i złożyć w stodole sprzęt do nurkowania wraz z niewielkim, tajemniczym pakunkiem.

Konrad został na obiedzie. Pan Dalton patrzył z podziwem na jego potężną,

muskularną sylwetkę.

- Czy nie chciałbyś popracować na ranchu, Konradzie? - zapytał. - Mając ciebie tutaj, mógłbym sobie pozwolić na utratę nawet dziesięciu pracowników.

- Gdyby potrzebował pan pomocy, pan Tytus z pewnością mógłby wypożyczyć mnie i mego brata Hansa na parę tygodni - odparł Konrad.

Pan Dalton podziękował mu za ofertę.

- Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie. Rozmawiałem z młodym Castrem. Nie wierzy w żadne duchy i strachy. Mówił, że do wypadku doszło przez jego własną nieostrożność. Obiecał powtórzyć to ludziom, jak wróci ze szpitala.

- Ależ to doskonale, Jess! - ucieszyła się pani Dalton.

Jess Dalton spochmurniał.

- Castro pozostanie jednak jeszcze parę dni w szpitalu i nie jestem pewien, czy mamy tyle czasu. Jeśli wypadki będą się powtarzać, ojedną wszyscy pracownicy. Szeryf jest zupełnie bezradny w tej sprawie. Mówi, że nic mu nie wiadomo, by El Diabło miał jakieś dzieci. Nie potrafi też zidentyfikować mężczyzny, którego widzieli chłopcy.

- Jestem pewien, że wkrótce wszystko znajdzie wyjaśnienie - odezwał się pocieszająco profesor Walsh. - Proszę mieć cierpliwość. Ludzie zaczną wreszcie myśleć i rozsądek weźmie górę nad uprzedzeniami. Czas jest najlepszym lekarstwem.

- Chciałbym w to wierzyć - powiedział pan Dalton smutno.

Rozmowa potoczyła się na inne tematy. Po obiedzie Konrad odjechał do Rocky Beach. Profesor musiał przygotować wykład, a Daltonowie zajęli się rachunkami rancha. Chłopcy poszli na górę do swego pokoju.

Jak tylko zamknęli za sobą drzwi, Bob i Pete zarzucili Jupitera pytaniami.

- Jaki masz plan?

- Po co ten sprzęt do nurkowania?

- Czy to był diament?

Jupiter roześmiał się.

- To jest diament, tak jak przypuszczałem. Duży przemysłowy diament, niewielkiej wartości. Ekspert w Los Angeles był mocno zdziwiony, gdy mu powiedziałem, gdzie znalazłem kamień. Uważał to za zupełnie nieprawdopodobne. Był przekonany, że jest to diament afrykański. Zostawiłem mu go do dalszych testów. Zatelefonuje tu do mnie, jak tylko zakończy badania. Macie świece i sombrero?

- Pewnie - odpowiedział Pete.

- Mamy też książkę o Jęczącej Dolinie - dodał Bob.



Opowiedzieli Jupiterowi o swej wyprawie do Santa Carla i o wypadku, jaki mieli w drodze powrotnej.

- Zanotowaliście numer rejestracyjny samochodu? - zapytał Jupiter.

- Wierz mi, Jupe, nie było na to czasu - odparł Pete. - Zauważyłem jednak, że tablica rejestracyjna była odmienna od tutejszej. Biało-niebieska.

- Hmm - Jupiter zamyślił się. - To kolory Newady. I mówicie, że człowiek z blizną obserwował was z góry?

- Pewnie wrócił wykończyć robotę - powiedział gniewnie Pete. - Ale nadjechały inne samochody i wystraszyły go.

- Być może - powiedział Jupiter w zadumie. - Widzieliście także profesora w mieście?

- Aha, a także starego Bena i Turnera - odparł Bob.

- Do przełęczy jest tylko parę minut drogi samochodem - rozważał Jupiter. - Ktokolwiek z rancza mógłby tam pojechać i nikt nawet nie zauważyłby jego nieobecności.

- Fakt - przytaknął Bob.

- Jednakże - kontynuował Jupe - rejestracja z Newady jest zastanawiająca. O ile wiem, wszyscy tutaj mają kalifornijską.

- Chcesz powiedzieć, że jest tu gdzieś ktoś obcy, nikomu nie znany? - zapytał Pete.

- Pewnie, że jest - wtrącił Bob. - Mężczyzna z przepaską na oku.

- Wszystko na to wskazuje - przyznał Jupiter. - Ale teraz musimy się wziąć do roboty. Ja przewertuję tę książkę o Jęczącej Dolinie, a wy dwaj zejdzicie na dół i sprawdzicie nasz sprzęt do nurkowania. Potem obwińcie czymś zbiorniki tlenowe, żeby nie były widoczne, i przymocujcie je do rowerów. Spakujcie także świece i paczkę, którą przywiozłem.

- Plan! - wykrzyknęli Bob i Pete równocześnie. - Jaki jest twój plan?

- Powiem wam po drodze - odpowiedział Jupiter, spoglądając na swój cenny zegarek.

- Teraz musimy się pospieszyć, jeśli chcemy dotrzeć do Jęczącej Doliny przed zachodem słońca. Dzisiejszego wieczoru być może rozwiążemy jej tajemnicę!

Pół godziny później Pierwszy Detektyw zjawił się w stodole wymachując książką.

- Myślę, że znalazłem część odpowiedzi - zakomunikował. - Piszą tu, że około pięćdziesięciu lat temu zamknięto większość szybów kopalni w Diabelskiej Górze. Nie znaleziono złota ani żadnych innych surowców, zlikwidowano więc kopalnię. Pięćdziesiąt lat temu ustały też jęki!

- Uważasz, że jeden z tuneli został ponownie otwarty i wiatr wiejąc przez niego wywołuje te dźwięki? - zapytał Bob.

- Tak, tak właśnie myślę - potwierdził Jupiter. - Pozostaje pytanie, w jaki sposób i po

co?... Jesteście gotowi?

- Gotowi, Jupe.

- Dobrze. Nim wyjedziemy ze stodoły, nałóżcie sombrero. Założyli kapelusze, umocowali ciężkie zbiorniki, ukryte w parcianych workach i dosiedli rowerów. Przy takim obciążeniu okazały się dość trudne do prowadzenia.

- Auu! - krzyknął Bob, gdy tylko nacisnął pedał.

- Twoja noga, Bob? - zapytał Pete.

- To z powodu zbyt dużego obciążenia roweru - powiedział Jupiter.

Bob skinął głową z nieszczęśliwą miną.

- Chyba nie dam rady, Jupe. Będę musiał zostać w domu.

Jupiter patrzył na niego przez chwilę, zastanawiając się.

- Nie, nie sądzę, żebyś musiał zostać. Być może obrócimy tego pecha w korzyść. Nasz podstęp będzie bardziej przekonujący.

- Jaki podstęp? - zapytał Pete.

- Klasyczna taktyka wojskowa. Pozoruje się pozycję wojsk w jednym miejscu i przygotowuje atak w innym - wytłumaczył Jupiter nie wdając się w szczegóły. - Bob, rozładuj swój rower. Myślę, że bez tego całego obciążenia dasz radę nim jechać.

Bob zrobił, co mu polecono, spróbował ponownie i tym razem okazało się, że może pedałowac nie odczuwając bólu. Pojechali w stronę bramy. Kiedy mijali dom, stojąca na ganku pani Dalton pomachała do nich ręką.

- Bawcie się dobrze i nie wracajcie zbyt późno! - zawołała.

- I bądźcie ostrożni!

Za bramą ruszyli szybciej ku Jęczącej Dolinie. Dotarli do żelaznej furtki na końcu drogi i zeszli z rowerów. Przenieśli je wraz z ładunkiem w gęste krzaki.

- Teraz - oznajmił Jupiter - powiem wam, jaki jest mój plan. Wejdziemy do jaskini nie będąc widziani.

Pete skinął głową.

- Rozumiem. Weźmiemy jęk przez zaskoczenie.

- Tak jest. Jeśli moja teoria jest słuszna, jesteśmy właśnie pilnie obserwowani.

- Do licha! To jak to zrobimy? - mruknął Bob.

- Dostaniemy się do jaskini pod wodą, przy użyciu naszego ekwipunku. Sprawdziłem przyływ, jest wyższy dzisiejszego wieczoru. Obliczyłem, że tunel prowadzący z plaży powinien być pod wodą.

- Ale, Jupe, jak dostaniemy się do wody niezauważenie, skoro cały czas jesteśmy

obserwowani? - zapytał Bob.

Jupiter rozpromienił się tryumfalnie.

- Stosując taktykę przynęty! Na wzór armii, która rozpala ogniska obozowe, ustawia atrapy urządzeń militarnych, po czym wymyka się cichaczem.

- Ale... - zaczął Pete, ale Jupe wpadł mu w słowa:

- Zauważyłem wczorajszego wieczoru, że o ile ścieżka prowadząca na prawo jest dobrze widoczna ze szczytu Diabelskiej Góry, o tyle prowadząca na lewo pozostaje ukryta. Chodźcie, będziemy szli swobodnie, bez chowania się.

Podnieśli pakunki i poszli w dół biegnącą w lewo ścieżką. Gdy znaleźli się poza zasięgiem obserwacji z wierzchołka góry, Jupiter kazał im zatrzymać się. Złożyli bagaże i patrzyli, jak Jupe rozwija swój tajemniczy pakunek.

- To tylko stare ubrania! - wykrzyknął Pete.

- Takie same jak te, które mamy na sobie - dodał Bob.

- Właśnie - skinął głową Jupiter. - Wypełnimy je trawą i chwastami i zawiążemy sznurkiem końce rękawów i nogawek.

Zabrali się do dzieła i wkrótce uformowali dwie kukły wyglądające jak Pete i Jupiter.

- A sombrero ukryją nasze twarze! - wykrzyknął Pete.

- Właśnie - Jupiter skinął głową. - Posadzimy kukły tak, żeby były dobrze widoczne ze szczytu góry. Ktokolwiek tam jest, będzie przekonany, że to my, zwłaszcza że Bob zostanie tu i będzie nimi poruszał od czasu do czasu.

Usadowili kukły na skarpie powyżej ścieżki, a Bob usiadł za nimi. Obserwując z oddali mogło to stwarzać wrażenie, że Trzej Detektywi siedzą sobie po prostu na skraju urwiska, podziwiają widok i rozmawiają.

Ukryci poniżej, Pete z Jupiterem, zbiegali w dół ku małej plaży. Tam, wciąż niewidoczni z góry, zdjęli ubranie i założyli butle tlenowe, okulary i płetwy.

- Fale są dzisiaj małe - powiedział Jupe. - Nie powinniśmy mieć kłopotów z dopłynięciem stąd do wejścia do jaskini.

Pete skinął głową.

- Pod wodą nie zabierze nam to więcej niż dziesięć minut, zwłaszcza z płetwami.

- Racja. Mam kompas, ale w razie potrzeby możemy wypłynąć na krótko na powierzchnię i zorientować się, gdzie jesteśmy. Nasza przynęta powinna odciągnąć obserwatora od oceanu.

Chłopcy założyli ustniki do oddychania, zeszli tyłem do wody i zsunęli się pod fale.

## ROZDZIAŁ 11

### Cień pod wodą

Pete płynął za falującymi przed nim płetwami Jupitera, przez świetliście przejrzystą wodę. Chłopcy byli doświadczonymi nurkami. Posuwali się naprzód bez zbytecznych ruchów, jedynie dzięki pracy stóp. Pete obserwował ciemne cienie skał, podczas gdy Jupe koncentrował się na utrzymaniu właściwego kierunku, zgodnie z kompasem na przegubie dłoni. Ryby śmigały wokół nich. Duża płastuga, niewidoczna na tle skalistego dna, oderwała się nagle od skały i wystraszyła Pete'a, po czym odpłynęła majestatycznie.

Po paru minutach Jupiter zatrzymał się i zwrócił twarzą do Pete'a. Wskazał na swój chronometr, a potem w stronę brzegu. Pete skinął głową. Czas skierować się do jaskini El Diablo.

Jupiter nadal prowadził. Bliżej brzegu woda była zamulona i z dna sterczało więcej głazów. Pete płynął więc bliżej trzepoczących przed nim płetw Jupe'a. Tak blisko, że wpadł na plecy kolegi, gdy ten się nagle zatrzymał. Zaklął zirytowany, ale złość szybko mu przeszła, gdy zobaczył, że Jupiter nagłym gestem wskazuje na coś po lewej stronie. Obrócił głowę.

Ciemny kształt przesuwiał się wolno w wodzie, w odległości nie większej niż dziesięć metrów od nich. Był gruby i długi jak wielkie cygare - sylwetka rekina lub nawet groźnego delfina szablogrzbieta.

Serce Pete'a waliło jak młotem. Ale chłopcy odebrali staranny trening, jak zachować się w takiej sytuacji. Natychmiast obaj zareagowali zgodnie z instrukcją. Wykonując jak najmniej ruchów, które mogłyby przyciągnąć uwagę rekina, opadli na dno. Na wszelki wypadek wyciągnęli zza pasów noże i dryfowali wolno w stronę bezpiecznej osłony skał.

Pete uważnie obserwował ciemny kształt. Doszedł do wniosku, że porusza się zbyt spokojnie, zbyt uparcie w linii prostej i zbyt jest długi jak na rekina. Z drugiej strony był za mały i za powolny jak na delfina szablogrzbieta.

Jupiter dotknął ramienia Pete'a i zrobił znak imitujący rekina. Pete potrząsnęła głową. Przez chwilę jeszcze obserwowali dziwny kształt, odpływający niespiesznie w morze. Oddalili się wolno od dna i popłynęli dalej. Wreszcie rozkołysanie fal wskazało im, że są blisko skalnej ściany Diabelskiej Góry. Wynurzyli się ostrożnie. Znajdowali się w niewielkiej odległości od otworu tunelu wiodącego do jaskini.

- Co to było? - zapytał Jupiter, gdy tylko usunął ustnik.

- Nie wiem - odpowiedział Pete nerwowo. - Jestem zupełnie pewien, że to nie był ani

rekin, ani delfin. Może powinniśmy wrócić, Jupe, i zawiadomić szeryfa.

- Jak przyjdzie tu z całym oddziałem, niczego nie znajdzie. Cokolwiek to było, odpłynęło, no nie? Jestem pewien, że ma to jakieś proste wyjaśnienie, poza tym jest już daleko.

- Czy ja wiem... - Pete wahał się.

- Teraz, kiedy tak daleko zaszliśmy, byłoby głupotą zawrócić - powiedział Jupiter zdecydowanie. Nie cierpiał gdy coś krzyżowało plany, zwłaszcza kiedy był na tropie. - Chodź, Pete. Wchodzę do jaskini. Trzymaj linę, póki nie znajdę się w środku.

Jupiter zniknął pod wodą. Słońce już zachodziło. Pete czekał w zapadającym zmierzchu. Gdy poczuł dwukrotne szarpnięcie liny, włożył ustnik i wpłynął do pasażu.

Lekka fala kołysała wodę. Pete płynął oświetlając swą drogę wodoszczelną latarką, stanowiącą część jego aparatury nurka. Tunel wznosił się ku górze i wkrótce woda była zbyt płytka, by płynąć. Pete przeszedł ostatnie metry dzielące go od groty, w której czekał Jupiter. Zdejmował właśnie płetwy, gdy rozległo się znajome:

- Aaaaa-uuuuu-uuu-uu!

Jaskinia jęczała!

- O rany, Jupe, miałeś rację - szepnął Pete. - Nikt nie widział, kiedy wchodziliśmy, i jęk nie ustał.

- Na to wygląda, co? - powiedział Jupiter z szerokim uśmiechem. - Godzina zmierzchu, pora naszej pierwszej wizyty w jaskini. Chodźmy.

Zdjęli sprzęt do nurkowania. Jupiter wyjął z wodoszczelnego worka zapalki i wszystkie inne potrzebne im przedmioty. Zapalił dwie świece.

- Podejdziemy z zapalonymi świecami do ujść wszystkich tuneli dochodzących do tej jaskini. Jeśli płomień będzie się chygotał, oznacza to, że w tunelu jest prąd powietrza. Jeśli świeca będzie się palić równo, tunel jest prawdopodobnie zablokowany. To nam zaoszczędzi dużo czasu i wysiłku.

- Sprytny pomysł - Pete skinął głową z uznaniem.

Badali otwory tunelu jeden po drugim. W jednym płomień drgał lekko, ale nie zadowoliło to Jupitera. Pete przeszedł do następnego. Teraz płomień świecy został gwałtownie wciągnięty do ciemnego ujścia tunelu.

- Tutaj Jupe! - krzyknął podniecony.

- Ciii - szepnął Jupiter. - Nie wiadomo, jak blisko ktoś tu może być.

Obaj wstrzymali oddech i nasłuchiwali. Przez długie sekundy panowała cisza i Pete był wściekły na siebie za wydawanie okrzyków. Wreszcie jęk rozległ się ponownie, odległy,

ale wyraźny.

- Aaaaa-uuuu-uuu-uu!

Zdawał się dochodzić wprost z korytarza, który wciągnął płomień świecy. Jupe narysował przy wejściu do niego mały znak zapytania, zgasili świece, zapalili latarki i weszli w głąb.

Tymczasem Bob siedział z kukłami na szczycie urwiska i przyglądał się jaskrawo pomarańczowemu zachodowi słońca. Rozprostował ostrożnie nogi. Siedział tak już pół godziny i pozorując rozmowę z przyjaciółmi, gadał do siebie. Zdawało mu się, że czuje czyjś wzrok na sobie. Wiedział, że to tylko jego wyobraźnia, ale wrażenie nie było miłe.

Dla zabicia czasu zaczął czytać książkę o Jęczącej Dolinie. Doszedł do rozdziału, który mówił o zamknięciu szybów kopalnianych, po czym czytał dalej. Nagle wyprostował się.

- O rany! - wydał stłumiony okrzyk.

Dalej książka traktowała o Benie Jacksonie i jego partnerze. Obaj należeli do górników poszukujących złota w Diabelskiej Górze, wykopali w niej jeden z szybów. Kiedy kopalnia została zamknięta, a ich szyb wraz z innymi zaczopowano, nie opuścili oni swej chaty na szczycie pasma wzgórz, tuż obok Diabelskiej Góry. Upierali się, że będą dalej poszukiwać złota i diamentów!

Bob zmarszczył czoło. Był pewien, że Jupe, paląc się do realizacji swego planu, nie przeczytał tego rozdziału do końca. Gdyby przeczytał, że stary Ben uważał, że w Diabelskiej Górze są diamenty, wspomnieliby o tym.

Boba ogarnął strach. Jupiter przypuszczał, że jęki mogą być wywołane ponownym otwarciem któregoś szybu. Ben i jego partner znali prawdopodobnie jaskinię lepiej niż ktokolwiek. Wykopalili jeden z szybów. Cóż łatwiejszego, jak otworzyć go znowu. Potem Bob przypomniał sobie jeszcze jedno. W jaki sposób stary Ben zaskoczył ich w jaskini poprzedniego wieczoru? Znajdowali się wtedy w wewnętrznej jaskini, a stary Ben twierdził, że usłyszał ich przechodząc na zewnątrz. Nagle Bob uświadomił sobie, że to byłoby niemożliwe. Odległość była za duża. Stary Ben musiał więc być wewnątrz pieczary, gdy ich usłyszał. Kłamał zatem. Dlaczego?

Teraz już mocno zaniepokojony, Bob opuścił się poniżej linii widoczności. Z pośpiechem wypchał stare spodnie i koszulę, podobne do tych, które nosił. Założył kukle sombrero i ostrożnie posadził ją obok pozostałych. W ciemniejszym zmierzchu trzy kukły powinny wyglądać dość przekonująco, by zwieść obserwatora.

Pochylony dał nura w gęste zarośla porastające zbocze poniżej drogi. Szedł szybko

wśród nich, równoległe do drogi, ale w sporej od niej odległości. Musi jak najszybciej wrócić do domu i powiedzieć Daltonom, co robią Jupe i Pete. Jeśli stary Ben rzeczywiście znalazł kopalnię diamentów, chłopcy mogą być w poważnym niebezpieczeństwie!

Przedzierając się przez zarośla i walcząc z bólem w skręconej nodze, uszedł kilkaset metrów, gdy dobiegł go delikatny odgłos. Bitą drogą, powyżej, jechał wolno samochód - bez świateł! Bob przykucnął w krzakach i w tym samym momencie samochód zatrzymał się. Ktoś wysiadł, zszedł do doliny i skierował się ku Diabelskiej Górze. Był ubrany na czarno, niemal niewidoczny, jak cień w mroku późnego wieczoru. Doszedł do góry i znikł.

Bob podkraść się do zaparkowanego samochodu. Wóz miał tablicę rejestracyjną Newady.

W głębi jaskini Pete i Jupe tropili nadal jękliwy dźwięk. Po przejściu pierwszego korytarza znaleźli się w następnej grocie i ponownie posłużyli się świecami, by odnaleźć dalszą drogę. W trzeciej grocie, mniejszej od innych, znaleźli trzy otwory tuneli i we wszystkich był silny prąd powietrza. Zdecydowali nie rozdzielać się i razem przeszukiwać każdy korytarz po kolei.

Pierwszy tunel biegł spory kawałek prosto, po czym załamywał się pod kątem prostym.

- Prowadzi w stronę oceanu, Jupe - stwierdził Pete.

- To nie może być właściwy kierunek - powiedział Jupiter po zastanowieniu. - Jęk dobiega raczej od strony doliny. Zgodnie z moim kompasem powinniśmy więc iść na wschód albo północny wschód.

- Ten tunel biegnie na południowy zachód - powiedział Pete spoglądając na kompas Jupe'a.

Zawrócili i weszli w następny tunel, ale i ten skręcił na południowy zachód. Cofnęli się ponownie do małej groty. Pete zaczął się niecierpliwić.

- Jak babcię kocham, Jupe, możemy tak łązić w kółko w nieskończoność.

- Mam pewność, że jesteśmy na właściwym tropie. Ilekroć przesuwamy się na wschód, dźwięk staje się silniejszy.

Pete wszedł niechętnie za Jupiterem w trzeci tunel. Prąd powietrza był tu silniejszy, a jęk brzmiał o wiele głośniejszy. Tunel prowadził wprost na wschód! Jupiter parł do przodu, jak mógł najszybciej, w słabym świetle latarki. Nagle zatrzymali się obaj.

W ścianie po lewej stronie ział otwór. Boczny pasaż łączył się w tym miejscu z tunelem, w którym się znajdowali.

- Coś takiego! - powiedział Pete. - To pierwszy boczny tunel, jaki tu spotkałem.

- Tak - odparł Jupiter, badając odgałęzienie w świetle latarki. - Został wykuty przez człowieka. Stary szyb, którego nie zablokowano. Pete, patrz!

Płomień świecy Jupe'a odginał się silnie.

- Co to oznacza, Jupe?

- To oznacza, że gdzieś tam dalej jest wyjście na zewnątrz. Prawdopodobnie jedno ze starych wejść do kopalni zostało otworzone potajemnie.

- Dlaczego więc szeryf go nie znalazł, ani pan Dalton?

- Tego jeszcze nie wiem, ale... - Jupiter urwał i zaczął nasłuchiwać.

Pete usłyszał także - ledwie uchwytny odgłos kopania.

- Chodź - szepnął Jupiter i skręcił w odgałęzienie tunelu. Pete właśnie zamierzał iść za nim, gdy nagle dobiegł go odgłos kroków w tunelu, którym przyszli.

- Jupe - jęknął słabo.

Tuż za nimi stał mały, szczupły mężczyzna, o płonących ciemnych oczach i dumnej twarzy. Twarzy nieomal chłopięcej. Nosił czarne sombrero, krótki czarny żakiet, koszulę o wysokim kołnierzyku, obcisłe czarne spodnie, rozszerzające się jak dzwony nad lśnjącymi czarnymi butami. To był młody człowiek z portretu, którego zdjęcie pokazywał im profesor Walsh. El Diablo! W lewej ręce trzymał pistolet.



## ROZDZIAŁ 12

### Pojmani

- Rany boskie! - wrzasnął Pete.

El Diablo skierował na niego pistolet i drugą ręką wykonał ucinający gest.

- Chce, żebyśmy byli cicho - powiedział Jupiter lekko drżącym głosem.

El Diablo skinął potakująco głową. Jego chłopięca twarz nie miała żadnego wyrazu. Ruchem pistoletu dał im znak, że mają iść przed nim w kierunku, z którego właśnie przyszli. Usłuchali niechętnie. Wrócili do grotty, tam El Diablo skierował ich do następnego tunelu, po prawej stronie.

Szli i szli przez pasáže i grotty. Chociaż Pete sprawdził na zegarku, że minęło mniej niż pięć minut, zdawało mu się, że już całe godziny trwa ta mozolna wędrówka. Szedł za Jupiterem, a tuż za nim El Diablo ze swym pistoletem.

- Stać!

Komenda została rzucona w momencie, gdy weszli do kolejnej grotty. Było to pierwsze słowo, które wypowiedział El Diablo. Jego głos był dziwnie stłumiony.

Chłopcy zatrzymali się. Grota była mniejsza od wszystkich, w których byli dotąd, i panowała w niej ponura atmosfera.

- Tam! - rzucił El Diablo, wskazując na wąski otwór w ścianie.

Jupiter i Pete rzucili sobie rozpaczliwe spojrzenia, ale nie mieli innego wyjścia. Wmaszerowali do wąskiego tunelu wraz z postępującym za nimi bandytą. Przeszli zaledwie dziesięć kroków, gdy wyrósł przed nimi kopiec kamieni kompletnie blokujący przejście. Ślepy tunel! Obrócili się przerażeni.

Twarcz El Diablo pozostała kamienna. Ruchem pistoletu pokazał im, że mają stanąć pod ścianą po lewej stronie. Następnie pochylił się i szybko przetoczył na bok ogromny głaz, jeden ze sterty blokującej tunel.

- Wchodźcie! - rozkazał.

Chłopcy podeszli do wyrwy utworzonej w stercie kamieni. Pete zajrzał do środka. Nie mógł dostrzec nic poza czarną jamą. Nim zdążył oświetlić ją latarką, silne pchnięcie zważyło go w głąb. Wylądował na kamiennej podłodze. Coś ciężkiego uderzyło go w żebra. Usłyszał, że głaz toczony jest z powrotem na miejsce. Leżał oszołomiony w kompletnych ciemnościach.

- Pete? - To był głos Jupe'a tuż obok.

- Jestem, jestem - odpowiedział - choć wolałbym, żeby mnie tu nie było.
- Obawiam się, że on nas zamurował - szept Jupitera dobiegał z ciemności.
- Obawiam się - parsknął Pete sarkastycznie. - Ja się po prostu potwornie boję.

Bob szedł spiesznie skrajem Jęczącej Doliny w kierunku Rancza Krzywe Y. Za nim, jakby dla zachęty, dolina zawodziła:

- Aaaaa-uuuuu-uuu-uu!

Bob wiedział - oznaczało to, że plan Jupe'a się powiódł. Wraz z Pete'em musieli już być wewnątrz jaskini i jęk nie ustał. Ale w tej chwili Bob nie cieszył się tym sukcesem. Jeśli jego podejrzenia były słuszne, jeśli Ben Jackson i Waldo Turner mają coś wspólnego z tym zawodem, Pete i Jupe mogą być w poważnym niebezpieczeństwie. W dodatku ten człowiek w samochodzie z Newady... Kto to jest? Bob widział tylko ciemną sylwetkę zmierzającą w kierunku Diabelskiej Góry. Czekał jakiś czas w pobliżu samochodu, ale mężczyzna nie wrócił.

Stanowczo za dużo tu się dzieje, by mogli sobie z tym poradzić sami, bez pomocy dorosłych. Musi się czym prędzej dostać na ranczo.

Kiedy minął Jęczącą Dolinę, zaryzykował wyjście na drogę, po której mógł iść szybciej. Stopniowo jęk brzmiał coraz słabiej. W pewnym momencie inny dźwięk zaostrzył jego czujność. Nadjeżdżał samochód. Bob skoczył w krzaki na skraju drogi. Samochód przemknął pędem koło niego. Chłopiec nie zdołał dostrzec twarzy pochylonego nad kierownicą mężczyzny, zauważył tylko, że miał na głowie sombrero. Zobaczył też na tyle samochodu tablicę rejestracyjną Newady.

Bob wrócił na drogę podenerwowany. Człowiek w samochodzie z Newady bardzo się spieszył. Co zaszło w przepastnej jaskini Diabelskiej Góry? Bobowi ścisnęło się serce. Spróbował biec ze swą obolałą nogą. Musi czym prędzej dotrzeć do domu i sprowadzić pomoc. Tym razem Jupiter posunął się za daleko!

- Och!

Ktoś nagle pojawił się na drodze i biegnący z pochyloną głową Bob wpadł na niego z impetem. Silne ręce chwyciły go za ramiona. Podniósł głowę i spojrzał na długą, przeciętą blizną twarz z czarną przepaską na oku.

Jupiter i Pete siedzieli skuleni pod kamienną ścianą. Od czasu do czasu dobiegał ich jęk, słaby i odległy.

- Widzisz coś? - szepnął Pete.

- Absolutnie nic. Jesteśmy kompletnie zablokowani i... Och, czy myśmży zwariowali! - Jupiter roześmiał się nagle.

- Na Boga, Jupe, co cię tak śmieszy? - szepnął Pete.

- Mówimy szeptem i siedzimy w ciemnościach, a przecież nie ma nikogo, kto by nas usłyszał, i mamy ze sobą nasze latarki!

Zaświecili je i uśmiechnęli się do siebie z zażenowaniem. Pete skierował latarkę na kamienną blokadę.

- Nikt nas nie słyszy i mamy latarki, ale to nie pomoże nam wydostać się stąd - powiedział Jupiter. Jak zwykle, zachowywał zimną krew. - Przede wszystkim spróbujemy wypchnąć ten duży głaz. El Diablo nie wyglądał na wyjątkowo silnego, a przetoczył go z łatwością.

Pete pierwszy zabrał się do roboty, ale kamień ani drgnął. Jupiter przyłączył się do niego i obaj wszystkimi siłami napierali na głaz, który jednak nie przesunął się ani o milimetr. Zdyszani, dali wreszcie spokój.

- Musiał go zaklinować z zewnątrz - powiedział Jupiter. - Im mocniej pchamy, tym bardziej trzyma klin. Zamknął nas na amen.

- Ślicznie! Jak myślisz, Jupe, czy to rzeczywiście był El Diablo? Profesor mówił, że on może jeszcze żyć.

- Być może, ale z pewnością nie tak by wyglądał. Nie zapominaj, że miałby dzisiaj około stu lat. Człowiek, który nas schwytał, wyglądał jak El Diablo z roku 1880.

- Tak, tak właśnie myślałem.

- A zauważyłeś, jak nieruchomą miał twarz? - zapytał Jupiter. - Jak to możliwe, żeby choć raz nie zmarszczył czoła, nie skrzywił ust?

- Zauważyłem oczywiście, ale...

- Jestem przekonany, że bandyta nosił maskę! - oznajmił tryumfalnie Jupiter. - Jedną z tych gumowych masek o cielistym kolorze, które ściśle okrywają całą twarz. Co więcej, mówił bardzo niewiele. Zapewne obawiał się, że rozpoznamy jego głos.

- Ja nie rozpoznałem, a ty, Jupe?

- Też nie. W każdym razie o jednym jestem przekonany. Nie chciał nam wyrządzić większej krzywdy. W przeciwnym razie nie ograniczyłby się tylko do uwięzienia nas.

- Tylko do uwięzienia! To ci nie wystarcza?

- Mógł zrobić coś o wiele gorszego. Znajdą nas tu prędzej czy później, gdy odkryją naszą nieobecność, i on o tym wiedział. Jest tu dość powietrza. Chciał nas się tylko pozbyć na jakiś czas, może na dzisiejszy wieczór. To z kolei oznacza, że musimy się pospieszyć i

znaleźć drogę wyjścia z tej pułapki.

- Jeśli myślisz, że jesteśmy tu bezpieczni, czy nie lepiej poczekać, aż nas znajdą? - zapytał Pete.

- Jestem pewien, że tajemnica musi być dzisiaj wyjaśniona - powiedział Jupiter z uporem. - Jeśli będziemy czekali, może być za późno. Skoro nie możemy wyjść tędy, którą weszliśmy, musimy szukać drogi z innej strony. Chodźmy!

Pete szedł za Jupiterem wąskim tunelem, który zdawał się ciągnąć kilometrami, bez załamań i odgałęzień. W końcu stanęli na wprost nowego usypiska kamieni i spojrzeli na siebie z przerażeniem. Tunel był zablokowany z obu stron!

- Co teraz?! - wykrzyknął Pete.

- Nie przypuszczałem, że jesteśmy tu tak kompletnie zamknięci. - Po raz pierwszy na okrągłej twarzy Jupitera malowało się zaniepokojenie. - To zupełnie nie pasuje do mojej koncepcji.

- Może El Diabło ma odmienną koncepcję - powiedział Pete.

Jupiter pochylił się i zaczął drobiazgowo badać kamienną blokadę. Podobnie jak inne powstała dawno temu. Jupe pochylił się jeszcze niżej i nagle opanowało go podniecenie.

- Pete, ten duży głaz był niedawno przesuwany!

Pete przykucnął koło niego. Na wprost dużego głazu były na kamiennej podłodze świeże zadrapania. Coś bardzo ciężkiego porysowało skałę!

Razem wsparli się o głaz. Zakołysał się lekko, ale nie ustąpił. Jupiter wyprostował się.

- Myślę, że nasz przyjaciel używał tego tunelu, by wchodzić i wychodzić z jaskini niezauważony - mówił rozglądając się dookoła. - Jeśli nie możemy ruszyć głazu we dwóch, musi być na to inny sposób... Tutaj! Ten długi drąg stalowy pod ścianą!

Pete pojął od razu. Dźwignia! Chwycił drąg i wetknął go między ścianę a olbrzymi kamień. Razem mocno nacisnęli drąg i kamień wytoczył się.

Przed nimi rozwarł się ciemny otwór. Jupiter skierował nań snop światła.

- Następna grota - oznajmił.

Pete rzucił drąg i obaj przegramolili się przez dziurę. Potoczyli wokół światłem latarek.

- O rany! - wykrzyknął Pete.

Jupiter patrzył w milczeniu. Stali w olbrzymiej grocie. Na jej środku połyskiwał duży, czarny staw.

## ROZDZIAŁ 13

### Staw Starucha

Woda była ciemna i nieruchoma. Pete przełknął głośno ślinę.

- Staw, w którym mieszka Staruch - powiedział drżącym głosem.

- A więc jest tu staw - stwierdził Jupiter. - Musiał zostać odcięty od reszty jaskini dawno temu, ale Indianie wiedzieli o jego istnieniu.

- Teraz my też wiemy. Szczerze mówiąc, wolałbym, żebyśmy nie zrobili tego odkrycia. Znajdźmy lepiej wyjście stąd, i to szybko!

- Istnienie stawu w jaskini wcale nie potwierdza faktu, że Staruch rzeczywiście egzystuje.

- Nie oznacza też, że nie egzystuje - odparł Pete. - Może także został dawno temu tu zamknięty. Może jest szalony i głodny i tylko czeka na dwóch krzepkich chłopców.

Jupiter rozglądał się wokół. Głębokie cienie na ścianach wskazywały, że z grotty odchodzi wiele tuneli.

- Spróbujmy znaleźć drogę na zewnątrz - zdecydował. - Zapal świecę, zbadamy otwory po kolei.

- To właśnie chciałem usłyszeć!

Sprawdzili wejścia do dwu tuneli, bez rezultatu. Przechodzili właśnie do trzeciego, gdy Jupiter stanął jak wryty.

- Pete - szepnął.

Pete pobiegł wzrokiem za spojrzeniem Juve'a, ale w pierwszej chwili nie dostrzegł niczego.

- Tam, pod ścianą. To... to...

Wtem Pete zobaczył! W ciemnym zakątku, koło otworu prowadzącego do następnego tunelu, siedział mały mężczyzna w czarnym ubraniu, czarnych butach i w czarnym sombrero na głowie. Siedział oparty o ścianę, z wyciągniętymi nogami. W prawej dłoni trzymał archaiczny pistolet i szczyrzył do chłopców zębami w uśmiechu. Ale... nie miał twarzy! To była trupia czaszka! Zaś dłoń trzymająca pistolet nie była dłonią. Pięć kości obejmowało rękojeść! Szkielet!

- Oooch! - wydobyło się ze ściśniętego gardła Pete'a.

Obaj odwrócili się i rzucili do ucieczki. Dopadli tunelu, który doprowadził ich do grotty, i usiłowali równocześnie precyzyjnie przejść przez otwór. W rezultacie przewrócili się i

stoczyli jeden na drugiego.

- Dokąd biegniemy, Jupe? - wymamrotał leżący na spodzie Pete.

- Tędy nie możemy wyjść!

- Oczywiście. Zabrakło nam jasności myślenia.

- Ja w ogóle nie myślałem - powiedział Pete zdyszczanym głosem.

- Może na początek zejdziesz ze mnie?

- Chciałbym, ale trzymasz mnie za nogę.

Pozbierali się wreszcie i usiedli na zimnym dnie groty. Byli wciąż roztrzęsieni, siedząc, powoli odzyskiwali spokój. Pete zaczął chichotać.

- Chłopie, ale z nas dzielni detektywi!

Jupiter skinął głową z powagą.

- Ogarnęła nas panika. Dość naturalna reakcja w tych okolicznościach. Akumulacja niebezpieczeństw wywołała napięcie nerwowe tak silne, że straciliśmy zdolność racjonalnej reakcji. Szkielet był ostatnią próbą wytrzymałości naszych nerwów. Załamały się i wprowadziły nas w stan panicznego przerażenia.

Pete jęknął:

- Szkoda, że nie ma tu Boba, żeby mi przetłumaczył to, co właśnie powiedziałeś.

- Gdyby tu był, powiedziałby ci, że wszystko, co nas spotkało, tak nas rozstroiło, że straciliśmy głowy.

- Nie mogłeś tak od razu powiedzieć?

- Mogłem, ale nie oddaje to dokładnie sensu tego, co starałem ci się przekazać. Jednakże nie tym powinniśmy sobie zaprzętać głowę. Chcę zbadać ten szkielet.

- Tego się obawiałem - Pete powłókł się niechętnie za Jupiterem.

Szkielet zdawał się uśmiechać do nich spod czarnego sombrera. Jupiter wyciągnął ostrożnie rękę i ujął rondo kapelusza. Pod dotknięciem kapelusz rozsypał się w drobne kawałki.

- Mój Boże - westchnął Pete i dotknął czarnego żakietu. Rozsypał się również i odpadł ze szkieletu.

Pete cofnął rękę i niechcący potracił kościste palce trzymające pistolet. Odłamały się, a pistolet upadł z łoskotem na podłogę. Pete odskoczył. Jupiter pochylił się niżej nad szkieletem.

- Jest bardzo stary, Pete - powiedział. - Ten staroświecki pistolet także. Można powiedzieć, że to nie ulega wątpliwości.

- Co nie ulega wątpliwości?

- Że to jest szkielet El Diablo, prawdziwego El Diablo!

Słowa Jupitera odbiły się echem od wysokiego sklepienia groty i powróciły niczym widmowy głos przeszłości.

- Prawdziwy El Diablo - powtórzył Pete. - Sądź, że on tu był cały czas i nikt go nigdy nie znalazł?

Jupiter skinął głową potakująco.

- Skłonny jestem przypuszczać, że umarł zaraz pierwszej nocy, kiedy schronił się w jaskini po ucieczce z więzienia. Jego rany musiały być poważniejsze niż przypuszczano. Oczywiście w owych czasach ludzie umierali od ran, które dziś uważamy za lekkie. Medycyna zrobiła ogromne postępy.

- Dlaczego sądzisz, że umarł pierwszej nocy? - zdziwił się Pete. - Mógł przecież ukrywać się tu latami, nim umarł.

Jupiter potrząsnął głową.

- Nie, nie sądzę. Zauważ, że koło szkieletu nie ma żadnych śladów jedzenia. Mógł pić wodę ze stawu, choć przypuszczam, że jest słona. W każdym razie, jeśli nawet miał wodę, nie miał jedzenia. Nie ma żadnych śladów. Ani kości, ani suchych nasion, nic.

- Może jadł i pił gdzie indziej - zasugerował Pete.

- Być może, ale jeśli tak, co go zabiło? Gdyby był zdrow i silny, byłyby tu ślady walki i prawdopodobnie jeszcze jeden szkielet lub dwa. Nie mówiąc już o tym, że gdyby ktoś znalazł El Diablo w tej grocie i zabił go, wykazałyby to historyczne dokumenty.

- Tak, myślę, że masz rację - przyznał Pete.

- Co więcej, zwróć uwagę na pozycję szkieletu. On umarł oparty o mur. Siedział tu i czekał na pojawienie się wroga, ale nie sądzę, by to kiedykolwiek nastąpiło. Można zresztą sprawdzić pistolet.

Pete podniósł broń i otworzył komorę naboju.

- Jest naładowany, Jupe. Ani jeden nabój nie został wystrzelony.

- Tak, jak myślałem - powiedział Jupiter z zadowoleniem - nikt nigdy nie odkrył miejsca, w którym się ukrył i umarł samotnie od odniesionych ran. Tak zresztą stwierdzają dokumenty.

- Byłoby lepiej dla niego, gdyby nie ukrył się tak dobrze - zauważył Pete. - Gdyby go znaleziono, zajęto by się nim, opatrzone mu rany.

- Prawdopodobnie, ale nie zapominaj, że został skazany na powieszenie. Przypuszczam, że wolał umrzeć tu, w swojej jaskini. Może myślał także, że jeśli nigdy nie zostanie odnaleziony, legenda o nim wzrośnie i pomoże to ludziom.

- I rzeczywiście wzrosła - powiedział Pete.

- Tak bardzo, że teraz ktoś stara się ją wykorzystać i wystraszyć nas, jak i każdego kto wejdzie do jaskini. Pozostaje pytanie: dlaczego?

- Może ktoś chce, żeby Daltonowie stracili swoje ranczo - zastanawiał się Pete.

- To możliwe, ale wątpię, żeby o to chodziło. Myślę, że raczej ktoś stara się odstraszyć ludzi od jaskini. Pamiętaj, że Daltonowie kupili ranczo dawno temu, a dopiero przed miesiącem zaczęły się wszystkie kłopoty, jęki i wypadki.

- Ale, Jupe, jeśli ktoś stara się przestraszyć ludzi podszywając się pod El Diablo, jak to się stało, że nie pokazał się nikomu oprócz nas? Dlaczego nie pojawił się, kiedy pan Dalton z szeryfem przeszukiwali jaskinię?

- Jeszcze tego nie wiem - przyznał Jupiter. - Z drugiej strony jednak, jęki zawsze ustawały w momencie, gdy ktoś wchodził do jaskini. Dopiero dziś, kiedy udało nam się dostać do środka niepostrzeżenie, jęk rozbrzmiewał nadal i ukazał się fałszywy El Diablo. Co prowadzi mnie do wniosku, że widzieliśmy dziś El Diablo, ponieważ jęk nie ustał.

- To wszystko nie ma sensu - powiedział Pete. - Jak myślisz, dlaczego ktoś działa tak dziwnie?

- Nie wiem - wyznał Jupiter niechętnie. - Ale wiem jedno, wyjaśnienie tajemnicy Jęczącej Doliny jest związane nie tylko z naturalnymi czynnikami wywołującymi jęczący dźwięk. Sięga gdzieś głębiej. Musimy się dowiedzieć, co oznaczały odgłosy kopania, które słyszeliśmy przedtem.

- Ojej, zapomniałem o tym zupełnie. Może w jaskini jest jednak kopalnia diamentów, jak myślisz, Jupe?

- Zeszłego wieczoru znalazłem diament. Dziś słyszeliśmy, że ktoś kopie. Logika wskazuje, że może tu chodzić o kopalnię diamentów, którą ktoś stara się zataić.

- Może powinniśmy powiedzieć panu Daltonowi o wszystkim, co dotąd odkryliśmy - Pete poczuł zaniepokojenie.

Jupiter zmarszczył się. Niechętnie przyznawał, że Trzej Detektywi nie mogą sobie poradzić sami w jakiejś sytuacji. Wiedział jednak, że bywają wypadki, kiedy zadanie przerasta możliwości trzech chłopców.

- Być może masz rację - powiedział niechętnie. - Weź pistolet El Diablo i postarajmy się znaleźć drogę wyjścia z jaskini.

Pete zapalił świecę i chłopcy zabrali się do sprawdzania tuneli.

Raptem powierzchnia stawu, dotąd ciemna i nieruchoma, zaczęła lekko falować. Potem nastąpił plusk i odgłos głośniego oddechu. Chłopcy stali jak skamieniali z latarkami



skierowanymi na staw.

Mroczne lustro wody pękło i wyłonił się zeń czarny, lśniący kształt. Woda kapła z jego połyskliwej skóry, mieniać się w świetle latarek. Jupiter i Pete patrzyli ze zgrozą na wychodzące ze stawu, czarne, lśniące stworzenie.

## ROZDZIAŁ 14

### Czarne, lśniące stworzenie

- Co tu robicie, chłopcy? - zapytało stworzenie.

Nagle zdali sobie sprawę z tego, co widzą przed sobą. Był to człowiek w czarnym gumowym ubraniu nurka. Na stopach miał płetwy, niósł podwójny zbiornik tlenowy, pomalowany na czarno, głowę i twarz skrywała gumowa maska.

- Coś takiego! - wykrzyknął z ulgą Pete.

Jupiter wziął się błyskawicznie w garść. Wyprostował się na całą swą wysokość i przybrał wyraz, który nadawał jego okrągłej buzi bardziej dorosły wygląd. Był to jego stary trik, który stosował, gdy czekała go trudna rozmowa z dorosłymi.

- Co pan tu robi? - zapytał głębokim głosem. - Jesteśmy tu za zgodą właścicieli tego rancza. Pan najwyraźniej wszedł ukrytym wejściem, które prowadzi z morza. Pan narusza cudze prawa. Pan jest intruzem.

Nurek ściągnął gumowe okrycie głowy. Odpiął zbiorniki tlenowe i odłożył je na bok. Był przystojnym blondynem i uśmiechał się szeroko do Jupitera.

- No, synu, mówisz niemal tak dostojnie i groźnie jak admirał - powiedział. - Nie kwestionuję waszego prawa do przebywania tu. Dziwię się tylko, co dwaj chłopcy robią w Jaskini El Diablo o tak późnej porze.

- Admirał? - Jupiter zastanawiał się przez chwilę. - Oczywiście! Pan jest płetwonurkiem marynarki wojennej, prawda? Macie tu manewry koło wysp.

Nurek spoważniał.

- Tak, zgadza się. Jesteśmy tu w ściśle tajnej misji treningowej. Musicie mi przysiąc, chłopcy, absolutną dyskrecję. Czy widzieliście przypadkiem w morzu coś, co wydawało wam się niezwykle?

- Nie - odpowiedział Pete.

- Absolutnie nic - zapewnił Jupiter. Nagle strzelił palcami, przypominając sobie coś. - Z wyjątkiem tego kształtu.

- Jakiego kształtu? - zapytał nurek.

Teraz i Pete sobie przypomniał.

- Długa, ciemna rzecz, która przepłynęła obok nas w oceanie.

- To była łódź podwodna, Pete! - wykrzyknął Jupiter z ożywieniem. - Mała łódź podwodna. Dlatego to było takie sztywne i posuwało się tak równo. Ale dlaczego nie

słyszeliśmy maszyn? Dźwięk niesie się bardzo daleko pod wodą.

Twarz płetwonurka zasępiła się.

- Sprawa jest bardzo poważna, chłopcy. Łódź podwodna, którą widzieliście, jest ściśle tajna. Zwłaszcza technikę wyciszania maszyn chroni się tajemnicą wojskową. Obawiam się, że muszę was zatrzymać.

- Zatrzymać? - jęknął Pete.

- Łódź podwodna, która porusza się tak cicho, że nie może być wykryta echosondą, ma niezwykle znaczenie, Pete - powiedział Jupiter z powagą. - Jednakże możemy udowodnić, że nie ma potrzeby nas zatrzymywać, panie...

- Kapitan Grane. Paul Crane - przedstawił się przybysz. - Przykro mi, ale jestem zmuszony zatrzymać was do chwili, kiedy admirał będzie mógł was przesłuchać.

Jupiter skinął głową ze zrozumieniem. Starał się wyglądać godnie, co nie jest łatwe, kiedy się ma na sobie tylko kąpielówki i pas przeznaczony dla nurków.

- Jestem Jupiter Jones, a to jest Pete Crenshaw - powiedział sięgając do jednego z wodoszczelnych pojemników przyczepionych do pasa. - Ufam, że ten dokument zaświadczy o naszej odpowiedzialności.

Wręczył kapitanowi jedną z ich kart wizytowych i specjalne zaświadczenie wystawione przez Reynoldsa, komendanta policji w Rocky Beach. Crane przeczytał uważnie karty.

- Tak się składa, że pracujemy teraz nad pewnym ważnym przypadkiem - mówił dalej Jupiter. - To powód, dla którego znaleźliśmy się w tej jaskini. Jestem pewien, panie kapitanie, że admirał wyraziłby zgodę na pana współpracę z nami.

Paul Crane spojrział na Jupitera i zawahał się. Pierwszy Detektyw potrafił zaimponować, gdy zachowywał się tak poważnie i profesjonalnie.

- Sądzę, że na podstawie tych dokumentów można wam zaufać - powiedział w końcu.

- Może zechce pan skomunikować się ze swym okrętem - zasugerował Jupiter. - Załoga mogłaby skonsultować się natychmiast z komendantem Reynoldsem w Rocky Beach. Jestem pewien, że poręczy za nas.

- Co ty mówisz, Jupe - wtrącił Pete. - Jak kapitan może stąd rozmawiać z okrętem?

- Dobry płetwonurek jest zawsze w kontakcie ze swoim statkiem - oświadczył Jupiter.

- Sądzę, że kapitan jest wyposażony w coś w rodzaju radia.

Kapitan Crane uśmiechnął się.

- Widzę, że jesteś bardzo bystrym chłopcem. Zgoda, siadajcie tu i nie ruszajcie się.

Jupiter i Pete uczynili, co im kazano, a kapitan odszedł w odległy kąt grotu. Mijały

minuty. Chłopcy z trudem mogli w mroku dostrzec przykucniętego płetwonurka. Był pochylony nad jakimś małym aparatem. Jupiter obserwował go z ciekawością, ale nie bardzo mógł dojść, co właściwie mężczyzna robi.

W końcu Crane wyprostował się. Schował aparat do kieszeni i podszedł do chłopców. Uśmiechał się.

- Nasza służba bezpieczeństwa sprawdziła was. Nie muszę was zatrzymywać.

- O rany, szybko działacie! - wykrzyknął z uznaniem Pete.

- To konieczność. Admirał ma wysokie priorytety - uśmiechał się kapitan.

- Teraz, skoro nie ma pan do nas zastrzeżeń, czy mogę zadać panu kilka pytań, panie kapitanie? - zapytał Jupiter.

Crane potrząsnął głową, uśmiechając się.

- Obawiam się, że to niemożliwe. Moja praca jest również ściśle tajna.

- To nie dotyczy pańskiej pracy - zapewnił go Jupiter. - Mam pytania w związku z jaskinią. Po pierwsze, czy to pana widział Pete wczoraj w grocie, w pobliżu wyjścia?

- Był to prawdopodobnie jeden z moich ludzi. Zameldował, że widziano go przez moment.

- To mi poprawia samopoczucie - powiedział Pete. - Chociaż jedna tajemnica tej jaskini się wyjaśniła.

- Po drugie - kontynuował Jupiter - czy pan, lub ktoś z pańskich ludzi, dokonał jakichś zmian w jaskini? W tunelach i wejściach do nich?

- Nie, mogę cię o tym zapewnić.

- Po trzecie, czy to, co pan tu robi, może wywołać te zawodzące jęki?

- Absolutnie nie. Nas też one zainteresowały. Byliśmy w jaskini tylko kilka razy i w ogóle niedługo przebywamy w tym rejonie. Sądziliśmy, że jaskinia zawsze tak zawodziła.

- Wasza praca wymaga absolutnej dyskrecji, prawda? Staracie się więc, by nikt was nie widział?

- Oczywiście - kapitan uśmiechnął się. - Jestem pewien, że nikt nas nie widział poza wami, chłopcy. Większość naszych zajęć ogranicza się do części jaskini od strony oceanu, włączając w to ten staw.

- Czy widział pan kogoś poza nami w jaskini?

- Nie. Oczywiście nie ma tu wroga, ale jest istotne dla naszej misji, by uniknąć kontaktów z postronnymi osobami.

- Tak, rozumiem - powiedział Jupiter z nutą rozczarowania.

- Przykro mi, chłopcy, niewiele mogę wam pomóc. Czy znajdziecie drogę do wyjścia

z jaskini?

- Właśnie staraliśmy się ją znaleźć, kiedy napędził nam pan strachu swoim pojawieniem się - wypalił Pete.

- Wobec tego wskażę wam właściwy kierunek. Pamiętajcie, ani słowa o naszym spotkaniu, ani o tym, co widzieliście w związku z naszą operacją.

- Tak, proszę pana, przyrzekamy! - powiedział Pete.

- Oczywiście, panie kapitanie - zawtórował mu Jupiter.

- Dobrze, chodźcie więc za mną.

Poprowadził chłopców przez jeden z tuneli, następnie przez szereg grot i pasaży, aż znaleźli się w grocie, w której Pete po raz pierwszy zobaczył czarne, lśniące stworzenie.

- Dobra, chłopcy - powiedział kapitan Crane. - Jestem pewien, że poradzicie sobie dalej. Muszę wracać do swoich zajęć.

- Dziękujemy panu! - powiedzieli razem.

Nurek uśmiechnął się.

- Powodzenia w waszej pracy!

Zniknął w wąskim otworze pasażu, którym przyszedli. Pete ruszył w stronę tunelu, który, jak pamiętał, prowadził do wyjścia na Jęczącą Dolinę.

Jupiter nie przyłączył się do niego. Pete obejrzał się. Jupe stał z utkwionym w przestrzeń pustym spojrzeniem. Pete wiedział aż nadto dobrze, co to oznacza.

- Och, nie - jęknął. - Nie powiesz mi tego, Jupe!

- Jestem bardziej niż kiedykolwiek pewien, że musimy dziś rozwiązać tajemnicę. Człowiek w przebraniu El Diablo wiedział, że prędzej czy później znajdziemy wyjście z zamknięcia. Oznacza to, że nie obchodziło go, co i ile wiemy. Chciał nas tylko usunąć ze swojej drogi na parę godzin.

- Nie mam najmniejszej ochoty wchodzić mu w ogóle w drogę, ale coś mi mówi, że będę musiał - powiedział Pete gorzko.

- To jest prawdziwa okazja, Pete. Ten, kto stara się odstraszyć ludzi od jaskini, sądzi, że się nas pozbył. Nigdy nie będziemy mieli lepszej sposobności, żeby znaleźć miejsce, w którym kopią i odkryć, co sprawia, że jaskinia jęczy.

- Chyba masz rację - zgodził się Pete niechętnie. - Tylko może lepiej pójść najpierw po pana Daltona i jego ludzi.

- Jeśli tylko wyjdziemy z jaskini, zobaczą nas. Poza tym nie ma na to czasu. Musimy działać szybko, aby wykorzystać naszą przewagę.

- Też mi przewaga - mruknął Pete. - Trudno, niech ci będzie. Od czego zaczynamy?

Byliśmy tu już i nie bardzo wiedzieliśmy, co robić dalej.

- Tym razem mamy więcej informacji. Wiemy, na przykład, że kopanie jest związane z jękami - powiedział z przekonaniem Jupiter.

- Jak tyś do tego doszedł? - zdziwił się Pete.

- Ponieważ ani szeryf, ani Daltonowie, ani gazety nie wspomnieli o kopaniu. Ktoś robi to w sekrecie. Drogą dedukcji wyciągam wniosek, że kopanie i jęki są ze sobą związane, ponieważ oba te tajemnicze zjawiska występują, gdy nikogo nie ma w jaskini.

- Ale... - Pete zdawał się nie bardzo rozumieć.

- Pete, posłuchaj. Weszliśmy do jaskini niezauważeni. Jęk nie ustał i usłyszeliśmy odgłos kopania. Jedno musi być związane z drugim.

Pete skinął powoli głową.

- Rozumiem. Dobra, od czego zaczynamy?

- Możesz teraz wykorzystać swój nadzwyczajny zmysł orientacyjny i znaleźć drogę do tunelu, w którym usłyszeliśmy odgłos kopania.

Pete zmrużył oczy. Przeszedł w myślach całą ich drogę od miejsca, w którym spotkali fałszywego El Diablo. W końcu powiedział:

- Wydaje mi się, że powinniśmy iść tunelem, który prowadzi na północny zachód.

Jupiter spojrział na kompas.

- Tędy!

- Zgadza się - potwierdził Pete. - Chodź, sprawdzimy ten tunel.

Byli obaj tak podnieceni możliwością rychłego rozwiązania tajemnicy, że zapomnieli o ewentualnych niebezpieczeństwach. Zapalili świecę i zbliżyli się do otworu w północno-zachodniej ścianie. Jakby na powitanie rozległo się przeciągłe:

- Aaaaa-uuuu-uuu-uu!

- Jęk - szepnął Pete.

- Słysząc go było przez cały czas, Pete. Po prostu przywykliśmy do niego.

- Wydaje się teraz bliższy.

- Ponieważ dochodzi z tego tunelu! - Jupiter wyciągnął rękę, w której trzymał świecę.

Silny prąd powietrza dobiegający z tunelu zdmuchnął płomień i równocześnie rozległo się głośnie:

- Aaaaa-uuuuu-uuuu-uu!

Skoczyli w głąb tunelu. Po kilkunastu metrach otworzył się na małą grootę.

- Wiem, gdzie jesteśmy - powiedział Pete przyciszonym głosem.

- Osłoń światło latarki - szepnął Jupiter.

Okryli dłońmi światło latarek, tak że tylko lekka poświata wskazywała im drogę. Pete prowadził. Wszedł do tego samego tunelu, z którego zawrócił ich wcześniej rzekomy El Diabło. W miarę, jak posuwali się do przodu, jęk był coraz głośniejszy:

- Aaaaa-uuuuu-uuuu-uu!

Gdy zbliżyli się do poprzecznego tunelu, rozległ się odgłos kopania.

- O rany - szepnął Pete - chyba rzeczywiście ktoś kopie.

- Pewnie, że kopie. Chodź.

Skreśli w tunel o wyglądzie szybu kopalnianego. Poruszali się ostrożnie, jak mogli najciszej. Szyb był długi i prosty. W oddali dostrzegli łunę światła. Jupiter gestem dał znak Pete'owi, by zwolnił.

Źródło światła znajdowało się w otworze w bocznej ścianie szybu. Duża sterta większych i mniejszych kamieni leżała wokół otworu. Odgłos kopania był coraz wyraźniejszy.

Chłopcy przycupnęli za zwałowiskiem kamieni i ostrożnie zajrzeli do otworu. Ostre światło zmusiło ich do zmrużenia oczu. W tym samym momencie rozległ się znowu jęk, tak głośny, że odruchowo zatkali uszy. Rozniósł się echem wokół nich i powoli zamarł w oddali.

- O rany - szepnął Pete - aż mnie uszy rozboleły.

- Patrz! - syknął Jupiter, łapiąc Pete'a za ramię.

Ich wzrok przystosował się już do jasnego światła. W niewielkiej odległości zobaczyli pochyloną sylwetkę z szuflą w ręce. Pete wstrzymał oddech.

Człowiek wyprostował się nagle, odrzucił szuflę i ujął kilof. Przez moment jego twarz była widoczna w świetle latarni, a także białe włosy i długa, siwa broda - stary Ben Jackson.

## ROZDZIAŁ 15

### Część tajemnicy zostaje rozwiązana

Przez otwór w ścianie Pete i Jupiter obserwowali starego Bena pracującego w ukrytej grocie. Regularnie co kilka minut jęk uderzał w ich uszy, ale Ben zdawał się być nań zupełnie obojętny. Nie przestawał walić kilofem w stertę gładów i ziemi.

- Popatrz - szepnął Jupiter - to wygląda jak usypisko skalne.

- I to duże - odszepnął Pete.

- Zauważ, że krawędzie skał są ostre i czyste. To musiało powstać bardzo niedawno.

Ben pracował uporczywie, nieświadom wpatrzonych w niego oczu. Brał zamach kilofem z wigorem i zdumiewającą jak na jego wiek siłą. Po pewnym czasie odłożył kilof i znowu ujął szufłę.

- Jupe, widziałeś jego oczy? - syknął Pete.

Oczy starego poszukiwacza błyszczały w świetle latarni. Była w nich jakaś dzika zapamiętałość, podobnie jak poprzedniego wieczoru, gdy ostrzegł ich przed Staruchem.

- Gorączka złota - powiedział cicho Jupiter - a raczej w tym wypadku, diamentów. Czytałem, że poszukiwacze popadają w rodzaj opętania, kiedy myślą, że natrafili na drogocenną żyłę. Mogą być niebezpieczni, gdy coś lub ktoś chce im przeszkodzić lub ich powstrzymać.

- Mój Boże - westchnął Pete.

Stary Ben kopał teraz w stercie kamieni obluzowanych kilofem. Nabierał kamienie na szufłę i rzucał je na ukośnie ustawione sito. Co pewien czas pochylał się i podnosił coś z pyłu. Oglądał podniesiony przedmiot, śmiał się jak szalony i wkładał go do skórzanego woreczka, leżącego koło latarni.

- Czy to są diamenty? - zapytał Pete szeptem.

- Przypuszczam - odpowiedział cicho Jupiter.

Ben był tak zaabsorbowany swoim zajęciem, że prawdopodobnie nie zwróciłby uwagi, nawet gdyby rozmawiali głośno. Woleli jednak nie ryzykować.

- Znalazł więc kopalnię diamentów - powiedział Pete.

Jupiter zmarszczył czoło w zamyśleniu.

- Na to wygląda, Pete, tylko...

- Cóż to może być innego? Nadział się na żyłę diamentów i wie, że znajduje się ona na terenie Rancza Krzywe Y. Gdyby się ktoś o tym dowiedział, musiałby się co najmniej dzielić



z Daltonami, no nie? Prawdopodobnie prawie wszystko należy do Daltonów. Kopie więc po nocach i odstrasza wszystkich od jaskini.

Jupiter skinął powoli głową.

- Słusznie. To by wyjaśniło wszystko z wyjątkiem...

- Dlaczego jaskinia jęczy i dlaczego przestaje, kiedy ktoś do niej wchodzi? - wtrącił Pete.

- Nie to miałem na myśli - odparł Jupiter. - Ale wydaje mi się, że mogę wyjaśnić, dlaczego jęki ustają. Widzisz, szeryf i pan Dalton na pewno znaleźli ten szyb. Nie znaleźli tylko miejsca, w którym pracuje Ben.

Pete otworzył usta, by zadać pytanie, i właśnie rozległo się głośne dzwonienie.

- Stary Ben rzucił szufłę i z zadziwiającą szybkością pobiegł do małej skrzynki stojącej koło latarni. Dotknął w niej czegoś i dzwonek zamilkł. Podniósł latarnię i woreczek skórzany i skierował się wprost do dziury w ścianie, za którą przykucnęli Pete i Jupiter.

- Szybko, Pete! - szepnął Jupiter nagle.

Chłopcy wycofali się za stertę kamieni. Zaledwie zdolali się za nią ukryć, Ben wszedł do szybu. Odłożył na bok latarnię i woreczek i ujął leżącą tu długą stalową sztabę, której chłopcy przedtem nie zauważyli.

W tym momencie rozległo się:

- Aaaaa-uuu-uu!

Tym razem jęk urwał się szybciej. Stary Ben, posługując się sztabą jak dźwignią, wtoczył do otworu w ścianie wielki okrągły głaz. Nie było teraz śladu po otworze.

- Już wiem, co miałeś na myśli - szepnął Pete. - Nikt by się nie domyślił, że w tej ścianie jest dziura.

Okrągły głaz wpasował się idealnie w wylom, jakby zawsze tam tkwił.

- Zablokowanie otworu natychmiast zatrzymuje jęk - szepnął Jupiter. - Dzwonek musi być sygnałem od osoby obserwującej z wierzchołka góry. Pewnie ktoś wszedł do jaskini.

- Może Bob bał się o nas i poszedł po pomoc - szepnął Pete z nadzieją.

Stary Ben dreptał tam i z powrotem po szybie, mruczając coś do siebie.

Nawet nie spojrział w stronę sterty kamieni, za którą ukryli się chłopcy. Nagle zgasił latarnię. Przez moment panowała zupełna cisza, po czym znów dało się słyszeć stąpanie i pomruki. Siedzieli przykucnięci w kryjówce, czekając w napięciu.

Pete starał się uporządkować w myślach fakty, które zaszły tego wieczoru. Wciąż jeszcze chciał zadać Jupiterowi kilka pytań, ale większość faktów dotyczących tajemnicy Jęczącej Doliny stała się oczywista. Ben Jackson kopał po kryjomu w jaskini. Ktoś na górze

stał na czatach. Jękliwy dźwięk był wywołany wiatrem przedostającym się przez otwór wiodący do ukrytej groty poszukiwacza. Kiedy ktoś wchodził do jaskini, pilnujący na szczycie góry człowiek dawał znać dzwonkiem i wtedy Ben zamykał otwór. Jęk ustawał i nie było śladu po tym, co go wywoływało.

Pete czuł się całkiem zadowolony z własnego rozumowania. Odpowiedział sam na wszystkie pytania. Tylko - czy na wszystkie? Kim był, na przykład, człowiek przebrany za El Diablo? Jaki ma on związek z całą sprawą? Może te same pytania zadawał sobie Jupe, kiedy mówił, że coś jest nie wyjaśnione?

- Pete - szept Jupitera wyrwał go z zamyślenia - ktoś idzie.

Dźwięk głosu przyjaciela, tuż koło ucha, tak zaskoczył Pete'a, że stracił równowagę. Uchwycił się wielkiego głazu przed nimi i jakiś kamień stoczył się na ziemię. Czy Ben usłyszał hałas? Pete wstrzymał oddech. W chwilę później zobaczyli zbliżające się rozkołysane światło.

- Waldo? - głos starego Bena zabrzmiał gdzieś bardzo blisko ich kryjówki.

- Aha - dobiegło zza kołyszącego się światła. - Jakichś dwóch wchodzi do jaskini, Ben. Lepiej zwiewajmy stąd.

Rozbłysło światło latarni Bena i chłopcy zobaczyli szczupłą sylwetkę Turnera. Skulili się, jak mogli najniżej. Dwaj starzy ludzie stali teraz bardzo blisko.

- Jesteś pewien, że weszli do środka? - spytał Ben.

- Zupełnie. Niebezpiecznie dużo ludzi szwenda się po tej jaskini od dwu dni - odparł Waldo.

- Psiakrew! - zaklął Ben. - Potrzebujemy jeszcze paru dni i skończone. Trudno, nie ma co się teraz narażać. Zabierajmy się stąd.

- Tak, chodźmy - przytaknął Waldo.

Było oczywiste, że to Waldo Turner stał na straży na szczycie Diabelskiej Góry. Dał umówiony sygnał i przyszedł jakimś sekretnym tunelem. Chłopcy obserwowali dwu poszukiwaczy, kiedy wytaczali głaz z otworu w ścianie, przeszli przezeń szybko i zasunęli lewarem kamień na miejsce. Cisza zaległa w czarnym jak smoła szybie.

- Dokąd oni poszli? - szepnął Pete.

- Może z tej groty za ścianą jest wyjście na zewnątrz. Musi być. W przeciwnym razie nie wiałby ten wiatr wywołujący jęk. Prawdopodobnie dochodzi do tej groty jeden ze starych szybów kopalnianych, które zostały zablokowane. Ben i Waldo musieli go ponownie otworzyć.

- Jak to się stało, że szeryf i pan Dalton go nie znaleźli? - spytał Pete.

- Pewnie jest zamaskowany - powiedział Jupiter. - Musi być jeszcze jedno wejście wysoko na górze. Inaczej Waldo nie dostałby się tu tak szybko. Pewnie jest spora liczba takich ukrytych wejść. Myślę jednak, że czas najwyższy iść po pomoc.

- Chodźmy! - wykrzyknął Pete entuzjastycznie.

Zapalili latarki i przeszli szybko przez długi szyb. Idąc po własnych śladach niebawem dotarli do wielkiej groty, w której byli poprzedniego wieczoru.

Kiedy zmierzali pospiesznie w stronę tunelu wiodącego na zewnątrz, dwie postacie wyskoczyły nagle z mroku. Silne ręce uchwyciły Pete'a za ramię.

- Mam cię! - usłyszał ochrypły głos.

Obejrzał się i skierował latarkę na napastnika. Serce mu stanęło, gdy zobaczył pociągłą twarz z blizną i przesłoniętym kłapką okiem.

- Uciekaj, Juve! - wydusił ze ściśniętego gardła.

Jupiter stał oślepiiony światłem latarki drugiego człowieka.

## ROZDZIAŁ 16

### Opowieść o diamentach

- Stój spokojnie - powiedział mężczyzna z przepaską na oku. - Coś sobie zrobisz, jak tak będziesz biegał po ciemku.

Jupiter zebrał się na odwagę.

- Wątpię, czy dba pan o to, żeby mi się nic nie stało. Radzę nas puścić. Mamy tu przyjaciół.

Nieznajomy roześmiał się.

- Dzielny z ciebie chłopak. Dlaczego nie podejdziesz bliżej, żebyśmy mogli porozmawiać.

- Nie rób tego, Jupe! - wrzasnął Pete.

Wtem spoza snopu światła drugiej latarki rozległ się znajomy głos:

- Wszystko w porządku, chłopaki, pan Reston jest detektywem!

Bob! Wszedł w krąg światła i roześmiał się serdecznie na widok zdumienia kolegów. Opowiedział im, jak doszedł do przekonania, że Ben i Waldo są wmieszani w tajemnicę Jęczącej Doliny, jak zdecydował się pójść po pomoc, natknął się po drodze na samochód z Newady i zobaczył wysiadającego zeń, ubranego na czarno mężczyznę, który poszedł w stronę Diabelskiej Góry.

- Później, kiedy samochód z Newady minął mnie w drodze na ranczo, ogarnęła mnie panika, zacząłem biec i wpadłem wprost na pana Restona.

- Sam Reston - przedstawił się wysoki mężczyzna. - Jestem detektywem zatrudnionym przez firmę ubezpieczeniową. Kiedy wasz przyjaciel opowiedział mi o swoich obawach, zdecydowałem pójść z nim do jaskini, nie tracąc czasu na drogę na ranczo.

- Pan Reston myślał, że możecie natychmiast potrzebować pomocy - wtrącił Bob.

- Istotnie - powiedział Reston - ponieważ człowiek, którego tropię, jest bardzo niebezpieczny. Staraliśmy się z Bobem dostać do jaskini nie zauważeni. To zajęło nam trochę czasu, ale myślę, że i tak nas dostrzeżono.

- Tak, widziano was - Jupiter odzyskał wreszcie głos. Opowiedział teraz o wszystkim, co widzieli z Pete'em w starym szybie.

Reston skinął głową.

- Wystraszyliśmy ich, niestety. Nie mogli jednak ująć daleko. Woreczek, który widziałeś, zawiera prawdopodobnie diamenty, które mnie tu sprowadziły.

- Diamenty? - powtórzył Pete pytająco.

- To właśnie moja praca, chłopcy. Staram się znaleźć bardzo sprytnego złodzieja klejnotów, który ukradł ostatnio całą fortunę w diamentach. Nazywa się Lasio Schmidt i jest poszukiwany w Europie. Tydzień temu, idąc jego tropem, przybyłem do Santa Carla. Usłyszałem tam o Jęczącej Dolinie i Jaskini El Diablo i przyszło mi do głowy, że jaskinia byłaby idealną kryjówką dla złodzieja. Niestety, jak dotąd nie udało mi się go znaleźć.

- Do licha! - mruknął Pete. - Szedł pan za nim i zgubił go pan?

- Niezupełnie. Szedłem jedynie jego tropem. Nie mam jednak pojęcia, jak on teraz wygląda, ani kim jest. Widzicie, chłopcy, pięć lat temu Schmidt opuścił Europę w pośpiechu, gdyż międzynarodowa policja, Interpol, deptała mu po piętach. Policja uzyskała informacje, że wyjechał do Ameryki i podaje się za kogoś innego. Nic więcej nie wiedzieli. Schmidt jest mistrzem w przebieraniu się i charakteryzacji. Może niezwykle wiarygodnie grać niemal każdą rolę.

Na twarzy Jupitera pojawił się wyraz zamyślenia.

- I ukradł diamenty ubezpieczone w pańskiej firmie? - zapytał.

- Tak. Mniej więcej rok temu. Nie popełnił żadnej kradzieży, odkąd opuścił Europę, i sądzono już, że zaniechał tego procederu albo nawet, że nie żyje. Kiedy jednak skradziono diamenty, nie ulegało wątpliwości, że to sprawka Schmidta. Sposób, w jaki dokonano kradzieży, wskazywał wyłącznie na niego.

- Modus operandi, czyli metoda działania - przytaknął Jupiter - to bardzo ważne.

- Dzięki temu schwytano wielu kryminalistów, zwłaszcza zawodowych złodziei. Nie zmieniają oni, poza drobnymi szczegółami, systemu dokonywania rabunku.

- Słusznie, Jupiterze - potwierdził pan Reston. - Kradzież była bez wątpienia dziełem Lasla Schmidta. Zrozumieliśmy, że odczekał aż sprawa przycichnie, i działa znowu. Jest oczywiste, że spędził w tym kraju lata na wypracowaniu sobie nowej osobowości. Obecnie występuje w podwójnej roli - złodzieja Schmidta i drugiej osoby, szacownej i nie budzącej żadnych podejrzeń.

- I pan nie wie, kim jest ta druga osoba - wtrącił Bob. - To może być każdy z naszego otoczenia.

Reston skinął głową.

- Dokładnie tak, Bob. Wiem tylko, że jest w tej okolicy. Sprzedał dwa diamenty i dzięki temu go wytropiłem. Jeden z nich sprzedał w Reno w Newadzie, drugi w Santa Carla.

- W Newadzie! - wykrzyknęli Bob i Pete równocześnie, a Pete dodał:

- A myśmy myśleli, że to pan jechał tym samochodem z Newady, który zepchnął nas

w przepaść!

- Nie, chłopcy. Jechałem do Jęczącej Doliny, gdy zobaczyłem przy drodze rowery. Zatrzymałem się, by sprawdzić, co się stało z właścicielami. Byłbym wam pomógł wydostać się na drogę, ale zobaczyłem nadjeżdżające samochody i wiedziałem, że ktoś się wami zajmie. Wolałem nie ujawniać jeszcze mojej tutaj obecności. Myślę, że Schmidt zidentyfikował mnie w Newadzie. Staralem się go zwieść, zakładając tę klapkę na oko i lepiąc sobie bliznę na policzku przed przybyciem do Santa Carla. Obawiam się jednak, że moja maskarada na nic się nie zdała. Nie chciałbym, by Schmidt wiedział, że wciąż jestem na jego tropie.

W trakcie całej rozmowy Jupiter w głębokiej zadumie błędził wzrokiem po ciemnej grocie, przygryzając wargę. Teraz błysk ożywienia pojawił się w jego oczach.

- Te diamenty, proszę pana - powiedział wolno - to jakiś szczególny rodzaj, prawda?

Reston popatrzył na niego ze zdziwieniem.

- Ależ tak, Jupiterze. Widzisz, nie skradziono ich z jakiejś pracowni biżuterii czy sklepu. Zrabowano je ze specjalnej wystawy w muzeum w San Francisco. Są to...

- Nieobrobione diamenty - dokończył Jupiter. - Nieoszlifowane, dokładnie takie, jakie wydobywa się w kopalni diamentów. Są przy tym zdatne jedynie do użytku przemysłowego.

- Nie rozumiem, skąd ty to wiesz - zdumiał się Reston - ale masz rację. To były nieobrobione diamenty, ale tylko kilka z nich to diamenty przemysłowe. Wystawa prezentowała diamenty z różnych części świata, w stanie naturalnym. Ponieważ wyglądają one jak zwykłe kamienie i ekspozycja miała miejsce w muzeum, nie była specjalnie strzeżona. Schmidt nie napotkał wielkich trudności w popełnieniu kradzieży. Większość diamentów to cenne klejnoty, choć w stanie surowym są trudne do rozpoznania. Ale jak na to wpadłeś, Jupiterze?

- Znalazłem jeden z nich tu, w jaskini. Myślę, że Ben i Waldo znaleźli resztę.

- A więc moje przypuszczenia były słuszne. Diamenty są w jaskini! - powiedział Reston.

Jupiter przytaknął z powagą.

- Myślę, że pański Laslo Schmidt ukrył je tu zaraz po popełnieniu kradzieży. Sądził zapewne, że będą tu bezpieczne, póki sprawa na tyle nie przycichnie, że będzie mógł je zacząć sprzedawać. Tylko że Ben i Waldo prowadząc swe poszukiwania w jaskini, znaleźli je i myśleli, że odkryli kopalnię diamentów.

- Przecież w tym rejonie nie ma diamentów - powiedział Reston.

- Nie ma, proszę pana, ale ci dwaj zawsze wierzyli, że są. Pamiętam, pan Dalton

mówił, że szukali zarówno złota i srebra, jak i kamieni wartościowych. Diamenty skradzione przez Schmidta nie różnią się od tych, które znajduje się w złożu, prawda?

- Tak - przyznał Reston. - Ale czy nie wydało im się dziwne, że znaleźli wszystkie diamenty w jednym miejscu?

Jupiter potrząsnął głową.

- Nie sądzę, by stary Ben tak je znalazł! Jak pan wie, jesteśmy dokładnie na Uskoku San Andreas. To miejsce, gdzie występują stale trzęsienia ziemi. Jaskinia jest pełna pozostałości po dużym wstrząsie, który miał miejsce parę lat temu. Od tego czasu zdarzyło się wiele małych.

- Myślisz, że tu było niedawno trzęsienie ziemi? - zapytał Pete.

- Tak właśnie myślę. Sądzę, że mały wstrząs, jakiś miesiąc temu, naruszył miejsce, w którym były ukryte diamenty. Ben i Waldo, kopiąc jak zwykle, znaleźli je rozrzucone wśród ziemi i kamieni i myśleli, że znaleźli całe złożo.

- Coś takiego! - wykrzyknął Pete.

- To zupełnie możliwe - przyznał Reston. - Jednakże, chłopcy, musicie pamiętać, że detektyw powinien brać pod uwagę wszystkie możliwości. A jest jeszcze jedna. Ben i Waldo mogą być złodziejami, którzy ukryli tu diamenty, a teraz chcą je odnaleźć po trzęsieniu ziemi.

Jupiter zaczerwienił się.

- Oczywiście. Powinienem wziąć to pod uwagę.

- Ale, proszę pana - odezwał się Bob - Ben i Waldo mieszkają tu od dawna! To miejscowi ludzie. Niemożliwe, aby przyjechali dopiero pięć lat temu z Europy!

Reston uśmiechnął się.

- Przypomnij sobie, co mówiłem o Schmidcie, Bob. To mistrz maskowania się. Może się ukrywać pod postacią jednego z nich.

- Rzeczywiście, to możliwe - przyznał Bob.

- Jedynym sposobem dojścia prawdy jest odszukanie w tej chwili obu poszukiwaczy - powiedział Reston.

- Chodźmy do groty, w której kopał Ben, i spróbujmy znaleźć wyjście, którym opuścili jaskinię. To nas może doprowadzić do nich. Ale któryś z was, chłopcy, musi wrócić na rancho i wezwać szeryfa. Będziemy mieli dla niego pewne dowody rzeczowe.

- Najlepiej, żeby poszedł Pete. - powiedział Jupiter.

Pete'owi wydłużyła się mina.

- Dlaczego ja! - zaprotestował. - Właśnie teraz, gdy mamy zakończyć sprawę!

- Jupiter ma rację - poparł wybór Reston. - Bob nie jest w zbyt dobrej formie, z

obolałą nogą, a Jupitera wolałbym mieć ze sobą. Przy tym zdajesz się być najszybszy, Pete. W zespole każdy robi to, w czym jest najlepszy.

Pete usłuchał niechętnie, aczkolwiek sprawiło mu przyjemność uznanie dla jego zdolności sportowych. Odnalazł szybko wyjście z jaskini i pobiegł długimi, równymi susami w stronę rancza.

Wewnątrz jaskini Jupiter, Bob i Sam Reston szli szybko tunelami. Stanęli w końcu przed zablokowanym wejściem do ukrytej groty starego Bena. Reston usunął okrągły głaz i weszli do środka.

Niewielka grota była pusta. W przeciwległej ścianie znaleźli korytarz. Był to znowu, wykuty przez człowieka, szyb kopalniany.

Sam Reston wszedł do niego pierwszy, z pistoletem w pogotowiu.

Jupiter opatrywał ich szlak znakami zapytania.

- Zmierzamy ku północnemu grzbietowi góry - powiedział Bob. - Zgodnie z książką, właśnie tam Ben i Waldo mają swoją chatę.

- Można było się tego spodziewać - powiedział Jupiter. - Otworzyli stary szyb w pobliżu chaty, żeby jak najmniej zwracać na siebie uwagę.

Reston zatrzymał się. Kamienny blok zamykał dalszą drogę. Bob zauważył ślady stóp pod samą ścianą. Reston pochylił się. Wparł się całym ciałem w okrągły głaz i ten natychmiast ustąpił. Reston wytoczył jeszcze dwa duże kamienie i wreszcie ukazał się niewielki otwór. Detektyw wczołgał się do niego. Przez moment chłopcy widzieli tylko jego nogi, a potem i one znikły. Zajrzeli do otworu, po czym szybko przecisnęli się za detektywem.

Stali teraz za gęstym parawanem drzew i krzewów na północnym grzbiecie Diabelskiej Góry. Nad nimi rozciągało się bezchmurne, nocne niebo.

- Nikt by nie zauważył tak małego otworu, w dodatku dobrze ukrytego - powiedział Reston. - Ruszamy, chłopcy. Idźcie za mną.

Szli ostrożnie górskim grzbietem, między doliną a morzem. Po chwili dostrzegli światło padające z okna małej chaty. Ben i Waldo siedzieli przy stole. Przed nimi leżał stosik małych kamieni.



## ROZDZIAŁ 17

### Domysły Jupitera okazują się słuszne

Sam Reston, z pistoletem w ręce, otworzył drzwi chaty.

- Złodzieje działek! - wrzasnął stary Ben wysokim, skrzeczącym głosem. - Łap ich, Waldo!

Reston obniżył broń.

- Siedź na miejscu, Waldo - powiedział spokojnie.

Wysoki poszukiwacz właśnie unosił się z krzesła. Powoli usiadł z powrotem.

- Co robić, Ben, przyniosło nam złodzieja - mruknął.

- Mamy się dać ograbić? - odparł Ben.

- Nikt nie postępuje już uczciwie - stwierdził gorzko Waldo.

Obaj starcy patrzyli z wściekłością na Restona. Następnie dzikie, czerwono obrzeżone oczy Bena spoczęły na Bobie i Jupiterze.

- Ci chłopcy! - krzyknął. - Mówiłem ci, że narobią nam kłopotów. Trzeba było zrobić z nimi porządek!

- Miałeś rację - przyznał Waldo.

Stary Ben zaczął machać rękami jak szalony.

- Nie ujdzie wam to na sucho, przybłądy! Zawsze rozprawiałem się ze złodziejami działek. Wieszaleń ich wysoko na gałęzi. Tak, panie, zasługiwali na to.

- Kopalnia jest nasza - Waldo położył dłoń na garści nie szlifowanych diamentów leżących na stole.

- Jeśli jest wasza, dlaczego zakradaliście się do jaskini? - zapytał Reston. - Dlaczego kopaliście po nocach i zamykaliście grotę, gdy ktoś wchodził do jaskini?

Przebiegły błysk pojawił się w oczach Bena.

- Bogate złożę, tak, panie. Trzeba być dyskretnym. Słowo się powie, a cały tłum się sypie. Nie, panie, rzecz trzeba trzymać w tajemnicy.

- Chcecie to trzymać w tajemnicy, bo ta ziemia należy do państwa Daltonów! Diamenty są ich! - wybuchnął Bob.

- Myśmy prowadzili poszukiwania w tej jaskini przez prawie dwadzieścia lat - zaprotestował Waldo. - My znaleźliśmy diamenty. Myśmy je wykopali. Należą do nas. Słyszysz? Do nas!

Jupiter przez cały czas nie odezwał się słowem. Rozglądał się bacznie po chacie.

Zaintrygował go widok radia, półek pełnych książek i sterty gazet. Podniósł jedną z nich i zaczął przeglądać.

Ben uśmiechnął się chytrze.

- Coś wam powiem. Tam jest dość dla każdego. Na pewno dość, żeby się podzielić. Nie jesteśmy zachłanni. Podzielimy się z wami. Co wy na to? Czwartą część tych kamieni tutaj i możecie kopać z nami w jaskini. Tam jest tego pełno. Złoty interes!

- Tam nie ma więcej diamentów, panie Jackson, lub jest tylko kilka i pan o tym dobrze wie - odezwał się Jupiter.

Wszyscy spojrzeli na niego.

- Ta chata nie bardzo pasuje do waszej pozy dwóch ekscentrycznych starych poszukiwaczy, żyjących przeszłością - dodał.

- Co ty wygadujesz, Jupe! - wykrzyknął Bob.

- Mówi, że te dwa typy są, do pewnego stopnia, oszustami - powiedział Reston - co, jak przypuszczam, jest słuszne. Ale co cię na to naprowadziło, Jupiterze?

- Przenośne radio z trudem pasuje do obrazu dwóch obłąkanych starych ludzi, myślących jedynie o przeszłości. Książki w bibliotece również wskazują na zainteresowanie współczesnym światem. Znaleźli w okolicy łatwowiernych ludzi, którzy im pomagają i zaopatrują ich w narzędzia, nie zadając pytań. Jestem również pewien - kończył Jupiter - że zdają sobie doskonale sprawę, że nie znaleźli złoża diamentów.

- Co daje ci tę pewność? - zapytał detektyw.

Jupiter podszedł do biblioteczki.

- Cztery spośród książek na tych półkach dotyczą diamentów i wszystkie cztery zostały niedawno wydane. W dodatku, ta gazeta zawiera opis kradzieży diamentów z muzeum w San Francisco i nosi datę sprzed roku. Artykuł jest zakreślony ołówkiem. Sądzę, że specjalnie zamówili tę gazetę.

- Co na to powiecie? - zwrócił się Reston do poszukiwaczy.

Ben i Waldo wymienili spojrzenia. W końcu Ben wzruszył ramionami i kiedy się odezwał, jego głos brzmiał normalnie.

- Chłopiec ma rację - powiedział po prostu. - Wiedzieliśmy, że nie ma tu diamentów.

- Kiedy znaleźliśmy pierwsze dwa diamenty - podjął Waldo - łudziliśmy się, że jednak odkryliśmy złożo. Mieliśmy jednak wątpliwości i Ben kupił te książki. Okazało się, że znalezione kamienie pochodzą z Afryki. Potem, będąc w bibliotece, znalazłem małą wzmiankę o rabunku. Sprowadziliśmy gazetę z San Francisco. W artykule był dokładny opis skradzionych diamentów, tak więc wiedzieliśmy, skąd pochodzą znalezione kamienie.

- Diamenty były skradzione - kontynuował opowieść Ben - postanowiliśmy je więc zatrzymać. Nikt, poza złodziejem, nie poniesie straty. Zaczęliśmy szukać reszty i dokopaliśmy się do istnego skarbu.

- Tylko że dziury, które otworzyliśmy - powiedział Waldo - spowodowały, że jaskinia zaczęła znowu jęczeć. Z początku było to dla nas korzystne. Ten dźwięk odstraszał ludzi, bali się wejść do jaskini. Potem pan Dalton z szeryfem zaczęli ją przeszukiwać. Zdecydowaliśmy, że w czasie, kiedy Ben kopie, ja będę na górze obserwował drogę. Jak tylko ktoś się zbliżał do jaskini, dawałem mu znać. Zamykał otwory i czekaliśmy, aż intruzi sobie pójdą.

Ben zachichotał.

- Wszystkich wyprowadziliśmy w pole! Ani Dalton, ani szeryf nie mieli pojęcia, co się dzieje. Was, chłopcy, sam raz wykurzyłem z jaskini. Nie mogę tylko dojść, jak żeście się dzisiaj dostali do środka i Waldo was nie zobaczył.

Jupiter opowiedział o ich fortelu z kukłami i o podwodnej wyprawie. Dwaj starzy panowie słuchali z podziwem.

- To ci heca! - roześmiał się Ben. - Muszę powiedzieć, że sprytnie z was chłopaki. Przechytrzyliście nas, jak się patrzy, tak, panie!

- To nie jest śmieszne, panie Jackson - powiedział Reston surowo. - Przywłaszczenie ukradzionych przedmiotów jest także przestępstwem.

Ben uśmiechał się z zakłopotaniem.

- Nie wiem, czy myśleliśmy o tym w ten sposób. Może w końcu oddalibyśmy wszystko, gdzie należy. Ale myśmy nigdy nie natrafili na żadne złoża i wydobywanie tych diamentów było dla nas wielką przygodą. Przez jakiś czas czuliśmy się jak prawdziwi poszukiwacze. Może to nie było zgodne z prawem, ale myśleliśmy, że nie krzywdzimy nikogo poza złodziejem. W każdym razie dopóki nie zdecydujemy, co zrobić ze znalezionym skarbem.

- A wypadki, jakim ulegali ludzie na ranczu? - zapytał Bob z oburzeniem. - A ten głaz, który o mało nas nie zabił?

- To były naprawdę zwykłe wypadki - powiedział Waldo. - Zdarzają się tu ciągle. Ludzie są podenerwowani tym zawołaniem i postępują nieostrożnie. Dlatego było ich więcej niż zwykle. Głaz, który o mało na was nie spadł, to moja wina. Obserwowałem was i niechętno kopnąłem kamień, który się stoczył. Nigdy nie chcieliśmy nikomu wyrządzić krzywdy.

Reston patrzył z namysłem na dwu starych ludzi.

- Zdecyduję później, co z wami zrobić - powiedział wreszcie.

Położył na stole swój pistolet i zaczął zbierać diamenty do skórzanego woreczka. Ben i Waldo obserwowali go ze smutkiem.

- Postępowaliście głupio - mówił Reston - ale odzyskaliście skradzione diamenty. Może rzeczywiście zamierzaliście je zwrócić, kto wie? Teraz mam ważniejszą sprawę na głowie. Muszę ścigać złodzieja.

- Myślałem właśnie o Schmidcie, proszę pana - odezwał się Jupiter. - Na pewno wiedział, że Ben i Waldo kopią w jaskini, i musiał przypuszczać, że znajdą diamenty. Sądzę, że czekał, aż skończą pracę dla niego. Proponowałbym zastawienie na niego pułapki. Jestem przekonany, że przyjdzie tu po swój łup.

W tym momencie za nimi rozległ się stłumiony głos:

- Jesteś bardzo bystry, chłopie. Właśnie przyszedłem!

Zaskoczenie było całkowite. Zdumieni odwrócili się w stronę drzwi. Stał w nich fałszywy El Diablo! Jego zamaskowana twarz była młoda i nieruchoma, tak jak zapamiętali ją dobrze Jupe i Pete. W lewej ręce trzymał wycelowany w nich wszystkich pistolet.

- Bez niepotrzebnej brawury, chłopcy - powiedział spokojnie Reston, spoglądając kątem oka na swój pozostawiony na stole rewolwer. - Jeśli to Schmidt, jest bardzo niebezpieczny. Nie ruszajcie się z miejsca.

- Bardzo rozsądna rada - padło chrapliwym głosem zza maski. - I to istotnie jest Schmidt. Nie próbuj sięgać po rewolwer, Reston. - Gestem nakazał im przesunąć się pod ścianę. Gdy wykonali polecenie, mówił dalej: - Ty, mniejszy chłopcze, weź sznur tam z kąta i zwiąż Restona. Szybko!

- Zrób to, Bob - powiedział Reston.

Opanowując gniew, Bob wziął kawałek sznura z leżącego zwoju i związał nogi i ręce Restona. Schmidt odsunął go i sprawdził węzły. Usatysfakcjonowany zadysponował:

- Teraz wy dwaj zwiążcie starych!

Jupiter i Bob posłusznie wykonali rozkaz, następnie na polecenie Schmidta Bob spętał Jupitera i wreszcie sam bandyta uczynił to z Bobem. Usadował ich wszystkich na podłodze pod ścianą, po czym podszedł do stołu i zabrał skórzany woreczek.

- Muszę wam wyrazić moje podziękowanie za przygotowanie mi diamentów - powiedział z ironią. - Zaoszczędziliście mi kłopotu z wykopywaniem ich po trzęsieniu ziemi. Oczywiście miałem was cały czas na oku. Nie po to kradłem te diamenty, by dać się ich łatwo pozbawić. A wy, chłopcy, byliście nieco namolni, ale nie dorośliście jeszcze, żeby mnie przechytrzyć. Jak zobaczyłem ten sprzęt do nurkowania, od razu wiedziałem, co knujecie. Zdenerwowało mnie trochę, kiedy zdałem sobie sprawę, że Reston znowu depce mi po

piętach, ale wszystko dobre, co się dobrze kończy.

Zachichotał, skłonił się kpiąco i opuścił chatę.

- Powinienem się był domyślić, że nas obserwuje - mrucał ze złością Jupiter. - Kiedy nas złapał w jaskini, domyślał się, że wiemy o kopaniu. Było je tam przecież słyhać.

- Nie obwiniaj siebie, Jupiterze - powiedział Reston. - To ty miałeś rację. Wyciągnąłeś z tego, co widziałeś, prawidłowe wnioski. Moją rzeczą było domyślić się, że Schmidt wykorzystuje tych dwóch starych ludzi.

- Miałeś do końca rację, Jupe - odezwał się Bob. - Złodziej przyszedł!

Jednak Jupiter nie odczuwał satysfakcji.

- Co z tego, że rozwiąże się tajemnicę, jeśli nie można nawet zobaczyć twarzy przestępcy. Ucieknie i nie będziemy nigdy wiedzieli, jak wygląda. A pan Reston będzie musiał od nowa zacząć...

Jupiter urwał w połowie zdania. Siedział z otwartymi ustami, wpatrując się w przestrzeń. Był jakby w transie.

- Jupe?

- O co chodzi, Jupiterze?

Jupiter mrugał oczami, jakby wszedł nagle do jasnego pokoju po długim nocnym spacerze.

- Musimy się natychmiast uwolnić! - zawołał, szarpiąc się w swych więzach. - Szybko, musimy go złapać.

Sam Reston potrząsnął ponuro głową.

- Za późno, Jupiterze. Jest już daleko.

- No, nie wiem - odparł Jupiter.

- Czego nie wiesz? - zapytał Bob.

Jupiter nie zdążył odpowiedzieć. Na dworze rozległ się tętent kopyt końskich. Po chwili drzwi chaty rozwarły się gwałtownie i pojawił się w nich wysoki, nieznajomy mężczyzna. Patrzył zdziwiony na związaną piątkę.

- Co, u licha, tu się dzieje?! Doprawdy, chłopcy, można było oczekiwać od was więcej rozsądku.

Bob i Jupe spoglądali skonsternowani na nieznajomego. Wtem ponad jego ramieniem dostrzegli miłe, bliskie twarze. Pete i pani Dalton! Uśmiechnęli się do nich z bezgraniczną ulgą.

## ROZDZIAŁ 18

### Zdemaskowanie El Diablo

Nieznajomy okazał się być szeryfem okręgu Santa Carla. Złościł się na chłopców za usiłowanie rozwiązania sprawy na własną rękę.

- Ściganie niebezpiecznego przestępcy nie jest zajęciem dla trzech chłopców! - grzmiał groźnie.

- Jak mogliście pójść do jaskini, nie mówiąc o tym nikomu? - powiedziała pani Dalton. - Bóg jeden wie, co się mogło przydarzyć, z grasującym tam bandytą i dwoma obłąkanymi ludźmi. Gdyby Pete nie odszukał tych znaków zapytania i nie domyślił się, dokąd poszłiscie, nie bylibyśmy w stanie was odnaleźć.

Bob milczał zakłopotany, ale Jupiter zwrócił się rezolutnie do szeryfa:

- Przykro nam, proszę pana, z powodu kłopotów, których przysporzyliśmy. Nie mieliśmy pojęcia o istnieniu złodzieja, dopóki nie pojmał nas nieoczekiwanie w jaskini. Reszty dowiedzieliśmy się od pana Restona.

- To prawda, szeryfie - powiedział Reston. - Chłopcy w żaden sposób nie mogli wiedzieć, że w jaskini przebywa niebezpieczny kryminalista. Sądzieli, że rozwiązują jedynie tajemnicę jęczącej jaskini, a za przeciwników mają co najwyżej dwu ekscentrycznych, ale nieszkodliwych starych ludzi. Nie mieli zamiaru schwytać złodzieja klejnotów. Wytropienie zaś Bena i Turnera było moim pomysłem.

- Może ma pan rację - mruknął szeryf. - Może chłopcy zachowali się odpowiedzialnie, mimo wszystko.

- Bardziej niż niejeden dorosły - powiedział Reston. - Złodziejowi, co prawda, udało się uciec, ale chłopcy rozwiązali sami całą tę tajemniczą sprawę.

- Są więc bardzo dobrymi detektywami - uśmiechnęła się pani Dalton.

- Zgoda, rozwiązali tę zagadkę - szeryf skinął głową - ale złodziej nam uciekł. Ano trudno, miejmy nadzieję, że go jeszcze przydybiemy...

- Proszę pana! - przerwał mu Jupiter donośnym głosem.

Wszyscy popatrzyli na niego ze zdziwieniem.

- Nie jestem pewien, czy złodziej uciekł - mówił Jupe z ożywieniem. - Nie jestem pewien, czy nawet próbował.

- Co chcesz przez to powiedzieć, synu? - zapytał szeryf.

- Czy wie pan, gdzie są wszyscy pozostali? - spytał Jupiter w odpowiedzi.

- Pozostali? Masz na myśli ludzi z rancza? No, wszyscy szukają was, chłopcy. Dalton ze swoimi ludźmi poszli na plażę. Hardin, profesor Walsh i jeszcze kilku przeszukują drugą stronę Diabelskiej Góry.

- Gdzie macie się później spotkać? - wypytywał Jupiter.

- W domu, na ranczu.

- Wobec tego musimy się tam czym prędzej udać - oświadczył zdecydowanie Jupiter.

Szeryf zmarszczył czoło.

- Zaraz, zaraz chłopcze, jeśli coś knujesz, powiedz nam lepiej od razu, o co chodzi.

Jupiter potrząsnął głową.

- Nie ma na to czasu, proszę pana. Wyjaśnienie trwało by zbyt długo. Musimy schwytać złodzieja, nim zdąży ukryć dowody rzeczowe.

- Niech pan go lepiej posłucha, szeryfie - odezwał się Reston. - Przekonałem się już, że chłopiec wie, co mówi.

- Chodźmy więc - zgodził się szeryf. - Zabierzcie się z nami, chłopcy.

Jupiter wspiał się na konia i usiadł za szeryfem, Pete i Bob jechali wraz z dwoma pomocnikami szeryfa, którzy czekali na koniach przed chatą. Pędzili szaleńczo przez pagórkowaty teren. Chłopcy podskakiwali i kołysali się na końskich grzbietach, uczeplieni desperacko jeźdźców przed nimi. Zbliżali się do domu. Zdawał się zupełnie opustoszały. Tylko kuchenne okno jaśniało słabym światłem.

- No, synu - szeryf odwrócił głowę do Jupitera - kogo spodziewałeś się tu zastać?

Jupiter nerwowo przygryzł wargę.

- Jestem pewien, że tu wróci - powiedział. - Pewnie go wyprzedziliśmy. Musi przecież udawać, że nas szuka. Chociaż przez jakiś czas. Najlepiej będzie zsiąść z koni i poczekać w ukryciu.

- Dobrze, ale chciałbym wreszcie wiedzieć, o co ci chodzi - powiedział szeryf.

Zeskoczył z konia i pomógł zejść Jupiterowi. W tym momencie zajechał swym samochodem Sam Reston.

- No, synu - szeryf był zniecierpliwiony - gadaj wreszcie, za czym się uganiamy.

- A więc, proszę pana - zaczął swe wyjaśnienia Jupiter - przemyślałem to, co powiedział w chacie bandyta, zestawilem to z pewnymi faktami i...

W tym momencie na ganku pojawił się mężczyzna. Szedł w ich stronę, lekko kulejąc. Profesor Walsh.

- O, widzę, że ich pan odszukał, szeryfie - powiedział. - Dobra robota. To był burzliwy wieczór, co, chłopcy? - uśmiechnął się i dotknął kolana. - Miałem mały wypadek.

Przewróciłem się i przeciąłem sobie nogę. Musiałem wrócić do domu i założyć opatrunek.

- Dobrze pan trafił, profesorze - powiedział szeryf. - Mały Jones właśnie zaczął bardzo interesującą opowieść.

- Nie ma potrzeby jej kontynuować - powiedział Jupiter chłodno. - Niech pan raczej przeszuka profesora Walsha. Wątpię, czy zdecydował się ponownie rozstać z diamentami. Jest przecież przekonany, iż nikt nawet nie przypuszcza, że istotnie jest Laslem Schmidtem.

- Schmidt! - wykrzyknął Reston.

- Myślę, że diamenty znajdziecie panowie pod bandażem - dodał Jupiter.

Profesor Walsh zrobił błyskawiczny zwrot i zaczął uciekać. Szeryf ze swymi ludźmi i Reston rzucili się za nim w pogoń.

Pani Dalton, Bob i Pete podeszli do Jupitera. A Pierwszy Detektyw stał sobie spokojnie i uśmiechał się jakby nigdy nic.



## ROZDZIAŁ 19

### Chłopcy opowiadają historię Alfredowi Hitchcockowi

- A więc, mistrzu Jones, czy diamenty rzeczywiście zostały znalezione pod bandażem na nodze profesora Walsh? - zapytał pan Hitchcock po wysłuchaniu opowieści chłopców.

- Tak, proszę pana - odparł Jupiter. - Schwytano profesora w momencie, gdy wsiadał do swego samochodu, tego z rejestracją z Newady. Okazało się, że miał dwa samochody. Jednego używał jawnie, drugi, z rejestracją z Newady, był ukryty w wąwozie, koło Jęczącej Doliny. W ukrytym samochodzie znaleziono maskę i kostium El Diabło. Był tak pewny siebie, że nawet nie pozbył się tych rzeczy.

- Ach, zgubna pewność siebie notorycznych przestępców - uśmiechnął się reżyser. - Świetna robota, chłopcy.

Było to w tydzień po ujęciu Lasla Schmidta alias profesora Walsh. Chłopcy wrócili właśnie z dobrze zasłużonych wakacji na Ranczu Krzywe Y. Przez tydzień pływali, jeździli konno i uczyli się gospodarskich zajęć. Teraz siedzieli w gabinecie słynnego reżysera filmowego i wykorzystując notatki Boba opowiadali o swojej ostatniej przygodzie, którą nazwali "Tajemnica jęczącej jaskini".

- Poznałem więc sekret jaskini i dowiedziałem się o działalności starego Jacksona i Turnera - mówił pan Hitchcock. - Nawiasem mówiąc, co się stało z tymi dwoma dziwakami?

Bob uśmiechnął się.

- Szeryf uznał w końcu, że może nie stawiać ich w stan oskarżenia. Uwierzył, że mieliby dość rozsądku, by zwrócić diamenty, a Daltonowie wybaczyli im wszystko.

Pan Hitchcock skinął głową.

- Tak, myślę, że jedynym przestępstwem, jakiego się dopuścili, było marzenie o znalezieniu bogatego złoża.

- Przedstawi pan więc nasz przypadek w książce? - zapytał podekscytowany Pete.

- Jeszcze nie wiem. Zgodziłem się opisywać każdą waszą przygodę, która okaże się godna uwagi. Na razie dowiedziałem się, jak dwaj starzy poszukiwacze spowodowali tajemnicze jęki jaskini. Dalej jednak nie rozumiem, jak Jupiter doszedł do swego odkrycia, że El Diabło i profesor Walsh to ta sama osoba - Laslo Schmidt.

Jupiter pochylił się w swym krześle.

- A więc, proszę pana, najpierw rozpatrywałem możliwość, że to profesor Walsh jest fałszywym El Diabło. Potem stało się oczywiste, że logicznie rzecz biorąc, jest on jedyną

osobą, która może być Laslem Schmidtem. Tylko on był prawdziwie obcy na Ranczu Krzywe Y, a jego przeszłość mogła być bardzo łatwo zafałszowana.

- Rozumiem - powiedział pan Hitchcock. - Był w tamtych stronach zaledwie od roku i mógł bez trudu udawać profesora historii przed dawnym zawodnikiem rodeo i rządcą na farmie. Ale co cię skłoniło do tego, żeby go w ogóle podejrzewać?

- W gruncie rzeczy, proszę pana, powinienem nabrać podejrzeń dużo wcześniej. Ale oczywistość pewnych rzeczy nie uderzyła mnie do chwili, kiedy siedzieliśmy wszyscy związani w chacie starego Bena. Wtedy bandyta powiedział coś, co pozwoliło mi wszystko zrozumieć.

Pan Hitchcock, kartkując notatki Boba, zauważył:

- Nie wydaje mi się, by wiele mówił.

- Niedużo, ale wystarczająco - odparł Jupiter. - Na przykład napomknął, że widział nasz sprzęt do nurkowania. Tylko ktoś przebywający na ranczu mógł to widzieć. Poza tym, kiedy mówił, jego głos był wprawdzie stłumiony przez maskę i trudno go było rozpoznać, ale sposób wysławiania się był niezmienny. Nagle zdałem sobie sprawę, że jest to maniera mówienia profesora Walsh.

Oczy pana Hitchcocka zabłysły.

- Istotnie - przytaknął - sposób wysławiania się może zdradzić człowieka.

- Następnie - kontynuował Jupiter - powiedział, że zdenerwował się, kiedy zdał sobie sprawę, że Reston jest znowu na jego tropie. To dało mi dwie poszlaki. Po pierwsze, że El Diabło znał Restona, i po drugie, że wiedział, że Reston tu się kręci.

- Oczywiście! - wykrzyknął pan Hitchcock. - Reston powiedział wam, że Laslo Schmidt znał go z widzenia. Nikt poza wami, chłopcy, nie widział Restona w pobliżu Diabelskiej Góry. To wy opisaliście go w obecności profesora. Nie ulega wątpliwości, że rozpoznał go z waszego opisu, nawet z blizną na twarzy i przepaską na oku.

- Tak jest - przytaknął Jupiter. Pan Hitchcock zmarszczył czoło.

- Wszystko to jednak, młody człowieku, są tylko dowody pośrednie. Pasują do profesora Walsh, ale równie dobrze mogłyby dotyczyć każdego innego na ranczu. Co sprawiło, że ograniczyłeś podejrzenia wyłącznie do Walsh?

- Pistolet! - oświadczył Jupiter tryumfalnie.

- Pistolet? - zdziwił się pan Hitchcock, przeglądając notatki Boba. - Nie znajduję tu nic szczególnego o tym pistolecie.

- Nie, proszę pana, nie chodzi o samą broń, ale o sposób w jaki ją trzymał. Widzi pan, El Diabło, który nas pojmał, trzymał pistolet w lewej ręce. Nosił olstro na lewym biodrze.

Tymczasem wszystkie książki i ilustracje wskazują, że El Diablo był praworęki. Kiedy znaleźliśmy jego szkielet w grocie, pistolet tkwił w prawej dłoni. Tak więc...

- Do diaska! Jak mogłem to przeoczyć! - wykrzyknął pan Hitchcock. - Oczywiście, Jupiterze, tylko profesor głosił teorię, że El Diablo był leworęki. Sam na siebie zastawił pułapkę tą teorią!

- Właśnie - uśmiechnął się Jupiter. - Widzi pan, był on zarówno złodziejem Schmidtem, jak i profesorem Walshem. Pan Reston powiedział, że przestępca spędził pięć lat na ustalaniu nowej osobowości. Stał się rzeczywiście ekspertem w historii Kalifornii i istotnie pisał książkę o El Diablo. Spodziewał się zapewne, że ta postać, jej legenda, może się przydać do jego gry. Był jednak leworęki. Ta teoria była mu potrzebna.

Pan Hitchcock roześmiał się serdecznie.

- Niezwykle sprawnie przeprowadziliście to dochodzenie. To jest, być może, twoja najbardziej pomysłowa dedukcja, Jupiterze. Z przyjemnością opiszę waszą przygodę. Lewa ręka, u licha!

Uszczęśliwieni chłopcy spłonęli rumieńcem słysząc tak wielką pochwałę. Jupiter wydobyl stary pistolet, który obaj z Pete'em znaleźli w ręce prawdziwego El Diablo.

- Pomyśleliśmy, że może pan to zachować na pamiątkę "Tajemnicy jęczącej jaskini".

- Ach, autentyczny pistolet El Diablo - pan Hitchcock oglądał broń z przejęciem. - Wielce sobie cenię wasz dar. Trzeba powiedzieć, moi młodzi detektywi, że nie tylko wyjaśniliście tajemnicę jęku, ale również dodaliście zakończenie legendzie El Diablo.

- O rany! - wykrzyknął Pete. - Rzeczywiście zrobiliśmy to wszystko!

- Pozostaje tylko jeden problem - powiedział pan Hitchcock przymrużając oko. - Czy rzeczywiście ów Staruch jest w stawie w jaskini? Może to on zabił El Diablo?

Jupiter zapatrzył się w przestrzeń w zamyśleniu.

- Widzi pan, legenda o Staruchu była przekazywana od bardzo dawnych czasów. Możliwe, że ma ona jakąś realną podstawę. Byłoby interesujące wrócić do jaskini i zbadać dokładnie ten staw.

- Och, nie! - wykrzyknęli Bob i Pete równocześnie.

- Hmm - zadumał się Jupe - zastanawiam się tylko...

Chłopcy pożegnali się i opuścili gabinet reżysera. Pan Hitchcock przyglądał się z uśmiechem leżącemu na biurku antycznemu pistoletowi. I znów Trzej Detektywi rozwiązali zagadkę, której nie potrafili wyjaśnić dorośli. Reżyser zastanawiał się, jaka zagadka czeka na nich w przyszłości. Może będzie to Staruch w głębi jaskini?

Był pewien, że cokolwiek to będzie, okaże się równie fascynujące i tajemnicze!